

Djabeł, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Djabel

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM II

I

W kilka tygodni potem, wiosna już była zielona, wonna, rozwita, a dziedziniec pałacowy w Głuszy zajmowały karety wypakowane, bryki, wozy, ludzie i konie. Podczaszyna wraz z synem opuszczali Głuszę, — ona smutna i obojętna szukając tylko roztargnienia, on wesół, szczęśliwy i pełen nadziei.

Od dawna nie wychodząca ze swego mieszkania w oficynie, starościna dnia tego każała się sprowadzić ze wschodów, i z pomocą Anusi przywlekła się do niebieskiej sali, pożegnać tych, co ją tak w osamotnieniu na dni ostatek rzucali. Siedziała biedna w krzesle, milcząca, zamyślona, niekiedy okiem modlitwy pełnem spoglądając na zwijającego się podczaszycza. Obok niej nieodstępna Anna, z minką, w której trochę dumy niedobrze pokrywało smutek, patrzyła także na młodego chłopaka, już daleko od nich sercem wylatującego.

W pałacu ruch był jak na wyjeździe, wszystkie wspaniałe sprzęty pochowano i poprzykrywano, paki i paczki zalegały się i pokoje, gmach już zawczasu czuć było pustką — kładł po mieszkańcach żalobę. Zewsząd słyhać tylko było przelatujące rozkazy, niecierpliwienia się podczaszyczej, urywane śmiechy jej syna i łoskot biegających żywo ludzi. Labe Poinset z miną pełną przybranej powagi, jak przystało na przyszłego sekretarza królewskiego, kierować jeszcze raczył wyborem, nie wiele się odzywając, i zdając dumać o nowem przeznaczeniu.

Wszyscy spiesząc na pozór, nie radzi jednak byli porzucić Głuszę, i ociągali wyjazd; — najbardziej go nagliła podczaszyna, którą i przytomność natrętna niemiłej starościnei i cały ten wybór szczególnie drażnił i niecierpliwil.

Z kątów słudzy pozostający, stary Sieniński i kilku kapotowych, z założonemi rękoma, z brwią nawisłą, spojerali tu i ówdzie nieprzytomnem okiem, to na swego panicza, to na odlatujących Francuzów, za którymi nie bardzo jakoś tęsknić myśleli.

W bocznym gabinecie, przebiegający podczaszyc, spotkał się z posłaną po coś Anusią, i mimowolnie oboje się zatrzymali.

— Panna Anna mnie nawet nie żegna? — spytał trochę smutnie Michał — nie będę miał na drogę ani krzyżyka, ani pamiątki?

— Do czego to panu odemnie, — odpowiedziało dziewczę cichym głosem — pamięta się i bez pamiątki, często i z nią zapomina, a pożegnać czyż mi wolno?

— Anusiu, Anusiu, ty sobie ze mnie żartujesz — z nagłem uczuciem biorąc jej drżącą rękę, rzekł podczaszyc i ciszej dodał — ty o mnie zapomnisz?

— Ja? nie! — odpowiedziała podnosząc oczy, pewno nie, ale pan?

— O! i ja! nie myśl żem tak płochy, jakim ci się może wydaję.

— Na nieszczęście!

— Anusiu, daj mi choć ten srebrny pierścioneczek, powieszę go na piersi razem z krzyżykiem babki — przypomni mi młodsze lata!

Zawahała się trochę dziewczyna, lży już mając w oczach, ale jakby jej myśl jakaś przyszła, nagle żywo ściągnęła z palca żadaną obrączkę i podała ją podczaszycowi nie śmiejąc go o nic prosić na wzajem. On zsunął turkusowego węża z ręki, włożył go na palec Anusi, pocałował różowe paluszki — i zniknął.

To było ostatecznie pożegnanie dwojga istot, które los dziwnie zbliżał i rozdzielał. Czy Michał kochał ją w tej chwili, czy myślał o jakiej przyszłości? nie wiem — są w sercu tajemnice niezbadane. — Leciął marząc z wyciągnionemi rękoma ku nieznanemu, a już tęsknota nazad go ciągnęła od progu.

— Wszystko gotowe! gotowe! rozległy się wołania po sali pałacowej. — Gdzie pan podczaszyc? — spytała matka wstając z krzesła i zbliżając się ku starościnie dla ceremonialnego pożegnania.

Kilka sług rozesłano szukać pana podczaszycza i znaleźli tylko płaczącą w kątku Anusię, która im na zapytanie wskazała bibliotekę. — Starościna, w tej uroczystej chwili, która dla niej rzeczywiście być mogła ostatecznym pożegnaniem tego, którego najwięcej ukochała

— nie dopuściła wylać się łzom wezbranym, by nie naruszyły jej powagi — uśmiech przymuszony, lecz dobroci pełen, błędnął po zbladłych jej ustach.

We drzwiach ukazał się nareszcie Michał, z różową jakąś książeczką pod pachą, trochę zmieszany, z czołem powleczoneм zadumą. Podczaszyna wskazała mu niecierpliwym ruchem babkę, a sama przystąpiwszy do niej zaraz, udała że ustami dotyka zmarszczonej jej dłoni, gdy staruszka z uczuciem przyciskała ją do piersi. Kolej przyszła na wnuka — tu lży już dłużej utrzymać się nie mogąc, potoczyły z powiek nabrzęklých — rozpląkała się starościna, tuląc głowę klęczącego przed nią i równie rozpląkanego Michała.

— Michasiu mój kochany! Michasiu — odezwała się cicho — my się pewnie żegnamy z sobą na zawsze, pamiętaj, pamiętaj nauki moje, nie zapominaj o Bogu, a Bóg cię nie opuści. — Nie opuszczaj modlitwy, a pomódl się też za duszę tej która cię równo z życiem kochała. — Nie splam imienia Ordyńskich, a niech cię Bóg, Matka Jego Najświętsza i wszyscy Święci Pańscy wiodą i błogosławią, niech cię Anioł stróż *w drogę pokoju i szczęśliwości prowadzi*¹. Dziecko moje... nie zapominaj tam o starej babce... bądź zdrow, bądź szczęśliwy... w imie Pańskie błogosławię!

Podczaszynę już niecierpliwiło to długie i łkaniem przerywane pożegnanie i błogosławieństwo, a więcej jeszcze lży syna, których zdawała się zazdrościć — trąciła go tupiąc nóżką i szepcząc.

— Alfierze skończ-że to, jedziemy.

Alfier powstał, raz jeszcze całując rękę babki, która poczęła zaraz odmawiać modlitwę na jego intencję, a niechcąc sama pozostać w pustce, kazała się wyprowadzić w ganek za wychodzącymi. Długi szereg powozów i bryk z wesoło prychającymi końmi stał już przed gankiem, podczaszyna ani spojrzawszy na zgromadzonych dworaków, co ją pożegnać przyszli, rzuciła się co najprędzej w karetę, i rozkazała ruszyć natychmiast.

Podczaszyc pobiegł do zasmuconych i serdecznem uściskiem lub kilką słowy każdego z nich pozdrowił. Ledwie mu dał dokończyć Labe Poinso, zzymający się równo z podczaszyną na te czułości których nie pojmował. Przeżywszy tu lat kilka jak ptak na gałęzi, zimno i obojętnie odlatywał, nie zostawując po sobie, tylko odrazę i nieprzyjaciół.

Powóz czekał na nich, Francuz się niecierpliwił, a Alfier biegał jeszcze od jednego do drugiego, spoglądając po twarzach, a trochę i po oknach. — Nareszcie, obok starościnej żegnającej go poświęconym krzyżykiem, zjawiła się Anusia, spotkały raz jeszcze wejrzenia, powtórzyło po cichu słowo pożegnania, a Poinso skoczył nie czekając do karety.

Podczaszyc pokłękł raz jeszcze przed babką, pocałował ją w dłoń, nie miał już siły odwrócić się do Anusi i wskoczył także do powozu, który szparko ruszył z miejsca.

Za nim długim sznurem pociągnęły się dwór, kuchnie i cała czereda nienawistnych Francuzów, których pan Sieniński ściagał dość obojętnem okiem, pokręcając węża. W długiej alei lipowej, zielonej teraz i cienistej, potoczył się tuman kurzawy, pociągnął za odjeżdżającymi i zakrył ich oczom patrzących.

Sieniński z córką wzięwszy pod ręce staruszkę, poszli z nią powoli do jej mieszkania, nie śmiejąc słowem się odezwać, tak pojmovali potrzebę milczenia opuszczonej starościnej.

Powolnym krokiem ze spuszczoną głową posuwała się modląc, a niekiedy zatrzymywała, napróżno szukając oczyma choć cienia ostatniego swego dziecięcia, które od niej jak ptak z gniazda odleciało.

Anusi srebrne leżki migały w czarnych oczkach, a pierś podnosiła się westchnieniem, Sieniński pod wężem też podobno nie weselsze skrywał oblicze, ale to był mruk i nie łatwo wywnętrzający się człowiek.

— E! kaduka to wszystko warte, wybuchnął na ostatku ocierając się rękawem. — Dawniej tego nie bywało, żeby tak za odjeżdżającymi plakano. I panicz — dobre dziecko, ale miękkiego serca, źle mu z tem będzie na świecie, ludzie się na tem zaraz poznają a poprowadzą za nos gdzie zechcą. Inne czasy, JW. pani! inne czasy, licha warte!

Staruszka milczała, a Sieniński zebrałszy się raz otworzyć usta, gderał ciągle.

¹niech cię Anioł stróż w drogę pokoju i szczęśliwości prowadzi — słowa modlitwy za podróżnych. [przypis autorski]

— Ot i chwała Bogu, mamy się czem pocieszyć, że nas Francuzi raczyli nareszcie pożegnać! szczęśliwej drogi! byleby nie powrócili! Ten Pąso (tak go nazywał stary) żeby też komu choć głową kiwnął! a ruszajże z Bogiem paniczyku!

Wchodzili na górę, starościna nic jeszcze nie mówiła, w ostatku odwróciła się do Sienińskiego z wesołą dosyć twarzą.

— Mój kochany, poszlij no mi wasze po księdza kanonika.

Stary aż się cofnął.

— A on tu na co? — zapytał.

— Zachciałeś, chcę się z nim rozmówić, staremu nie zaszkodzi z Bogiem się pojednać, bo nie wiadomo kto z brzegu. — Wymówiła to jakoś słabszym i drżącym głosem, oparła się silniej na rękę wiodących i kazała wprost nie na krzesło się prowadzić, ale do łóżka.

Nie potrzeba mówić jak się Sieniński przestraszył, i drapnął zaraz, żeby co najprędzej po kanonika posłać. Anusia została przy starościnnie cała we łzach i strachu niewymownym. Chora jednak powoli trochę sił, a nawet wesołości swej zdawała się odzyskiwać i poczęła od wyburczenia Anusi.

— E wstydziłabyś się asanna — rzekła — nie wiedzieć czego smutku mi dodawać, ja tego, wiesz, nie lubię. Choć się czuję źle, to mi koło mnie powinno być wesoło, a co to pomoże? Podaj mi książkę, mów litanią o szczęśliwą śmierć, a nie szlochaj, bo to się na nic nie zdało, mnie tylko rozkwasa.

Na podłożonych poduszkach usiadła starościna, podniosła w rękę krzyżyk przed którym się była modlić przywykła, ustawiła do koła swoje obrazki poświęcane, złożyła dłonie i poczęły się modlitwy.

Słowik tymczasem w bzach i kapryfoljach ukryty pod oknami, wesoło i głośno wyśpiewywał, słońce świeciło i światek się uśmiechał młodziuchny, rozkwitły, znowu pełen życia.

Nad wieczorem dopiero, przerażony wieścią o słabości starościny, zjawił się ksiądz kanonik, dawny przyjaciel domu Ordyńskich, zgrzybiały, pochylony wiekiem i o kiju ledwie suwający się staruszek.

Starościna odwróciła się ku niemu z uśmiechem, którym go chciała od razu rozchmurzyć, bo nie lubiła przy sobie smutnych twarzy.

— A co kanoniku? — odezwała się uśmiechając — nie mówiłam ci że mnie chować będziesz? Ot coś się na to zbiera, że zakład wygram, a pamiętasz, miałeś sto pacierzy zmówić za duszę moją.

— Niechże Bóg uchowa! — drżącym głosem odpowiedział starowina przybliżając się do łóżka — czyż JW. pani starościna chora? to by naprzód posłać po fizyka.

— O! racja fizyka! — wesoło odpowiedziała starościna — co tam fizyk pomoże na starość! Żart na bok, jegomość dobrodziej wypowiadasz mnie naprzód.

W godzinę potem, cała w bieli, jaśniejąca spokojem lat święcie przeżytych, pani Ordyńska klęcząc, bo chciała mimo osłabienia koniecznie w tej postawie pokornej powitać Pana nad Pany, który przychodził do niej — przyjmowała Sakramenta, w obec całego dworu strwożonego i rozplakanego. Nic jednak w niej nie przepowiadało rychłego zgonu do którego się tak spieszenie przygotować pragnęła.

Wieczorem piła kawę swoją z księdzem kanonikiem razem i rozmawiała z nim wesoło, prosząc ażeby do jutra nie odjeżdżał.

Z przestrachem wszyscy zbliżającą się noc ujrzeli, ale na śnie upłynęła spokojnym; starościna wstała, zdawało się, rzeźwiejszą, całą jednak zaprzętą zawsze myślą rozporządzeń pogrzebowych; podobywano pudła i skrzyneczki, w których były: bielizna, ubranie, świece i inne potrzeby na ów wielki dzień przygotowane. Z wielką przytomnością gospodarowała staruszka; podyktowała testament kanonikowi, kilka listów napisała własną ręką i znów napiwszy się kawy, rozpoczęła modlitwy z Anusią.

Słońce już zachodziło i słowik znowu poczynął śpiewać zawzięcie, gdy staruszce zachciało się kazać otworzyć okno od ogrodu; przystawiono jej krzesło, usiadła na nim, wychyliła się żeby wciągnąć wiosennego powietrza, spojrzała po zielonych drzewach, ła cicha stoczyła się po twarzy bladej — i była ostatnią.

Po chwilce zamknęła oczy, usta jeszcze jakiś czas poruszały się modlitwą, rozpozodziła czoło, błogi uśmiech zakwitł na licu zgrzybiałym, pochyliła głowę na piersi, z rąk wypadł różaniec — starościna Bogu ducha oddała!

Na w pół drogi do Warszawy umyślny dogonił podczaszynę i Michała z wieścią o śmierci babki, Michał chciał powrócić nazad i sam do grobu martwe odprowadzić zwłoki, ale surowe skinienie matki która ruszyła ramionami na to, suchem okiem przyjąwszy obojętną wiadomość — wstrzymało syna.

Powozy pociągnęły dalej ku stolicy, a w Głuszy Sieniński tylko i Anna z kanonikiem poszli za trumną staruszki.

II

Był to wieczór zimowy — stolica z przymrozkiem, który ulice jej osuszył, nowego nabrała życia. Dniem wrzały w niej pierwiastki ludowe — wyrobnicy, przekupnie, rzemieślnicy, mieszczenie, wszystkie te klasy, których byt jeszcze się mierzy dzienną światłością wedle starego postanowienia Bożego; — nocą występować poczynały do boju inne klasy społeczeństwa, które potrzeba, kaprys, moda, zbytek, nuda, nauczyły szukać ciemności i światła sztucznego. Warszawa w epoce o której tu mowa, nie była ani tak czystem, ani tak uporządkowanym jak dzisiaj miastem. Odnaczała się ona wszakże zawsze pewnym sobie właściwym wdziękiem i tą ruchawością, która ją i teraz jeszcze ożywia. Fizjognomji jej nie brakło charakteru wybitnego i strony malowniczej.

Była to jeszcze mieszanina starych gmachów i nowych pałaców, kamienic z XV wieku, wysokich a wąskich i domków świeżo jak z pudełka wyjętych, brudnych zażydzonych kątów i wspaniałych budowli i ogrodów; — śmiecia i okazałość dziwnie się tu z sobą jednocyły, mieszały, stanowiąc najoryginalniejszą sprzeczność. W innej sferze też samo prawie piętnowało charakterystykę ówczesnej ludności, wśród której żywiły stare graniczyły z nowymi całkiem im przeciwnymi; żydzi ocierali się o mnichów, żebracy o magnatów, masonerja o bractwo Serca Jezusowego: w tem wszystkim wrzało jakieś życie konwulsyjne, szybkie, chorobliwe może, ale gorące. Dzień zarówno jak noc był ciekawym obrazem; a wśród ciemności olbrzymiało jeszcze wszystko, przybierając fantastyczne kształty i rozmiary.

Rzadkie pasy światel od latarni, które słabo gdzie niedzie rozjaśniały ulice, i blaski mdławe rzucały na piętrzące się gmachy — powiększały urok tej fantastycznej panoramy. Kiedy niekiedy przesuwaly się wśród cieni owe karety wązkie w dole, rozszerzone u góry, zaprzężone tarantami, poprzedzane laufkami lub hajdukami, które widzimy jeszcze na obrazach Canalettego — pudło ich zawieszane na długich drągach trzęsło się dygocząc po nierównym bruku — to znów przelecieli jezdzy zbrojni, czereda jakiego pana, orszak posła, połyskujący bronią — przesunął się z pochodniami poprzedzającymi go paż królewski lub szambelan z biletem czy poselstwem tajemnym; przewlókł żebrak szepczący modlitwę po cichu, lub zahuczała kupka szlachty wychodząca z pod Złotego Grona, z pod Murzyna, z pod Kogutka. — W oknach większych gmachów nie dobrze osłoniętych firankami, szeregi światel oznajmywały huczne zabawy — buchała z nich muzyka, okrzyki, śmiechy i wrzawa. W głębi ozwał się gdzieś daleko powolny dzwonek klasztoru, zwołujący na pacierze i zdający żałośliwie jakieś jęczeć nad grodem: *memento!*

Niektóre sklepy jaśniały jeszcze lampami, rachując na wieczorne potrzeby kupujących — garkuchnie zapraszały do siebie, winiarnie mrugały na przechodzących, a chłopczyki z latarniami latali poglądając z kądem by też kogo odprowadzić można i groszyk jaki utargować. We mroku i ćmie przemykały się bokami ulic jakieś postacie zakryte, osłonięte, tajemnicze, po których niepewnym chodzie poznać było można, że się lękały światła i oka.

Chwilami milczenie głucho, to znów zaburczy kareta, zagrzmią głosy żwawsze, odezwie się krzyk daleki, śpiew podejrzany, rozłamana rozmowa, stukanie do bramy — i cicho znowu — gasną światła w rzemieślniczych okienkach, na dołach i strychach, przegradza się ludność piesza, ale karety stoją po dziedzińcach i ulicach, przelatują jeszcze wśród pochodni i grzmią po bruku przebudzając zawczasie uspiętych.

Późnym dopiero wieczorem dzień się robi pańskiemu światu, który do sztucznego życia, sztucznego potrzebuje światła — giną w niem marszczki twarzy, wejrzenia nabierają połysku i siły, rumieniec barwy, uśmiechy zapału — słowa tajemniczego znaczenia — noc wyrabia jakiś stan gorączkowy, nienaturalny, pobudza, ośmiela, rozdrażnia.

We dnie człek się wstydzi wielu rzeczy, które po nocy zrobić gotów, by je nazajutrz oplakiwał.

Nie bez przyczyny też, życie gorączkowe obrało sobie noc, jako stosowne pole występu — dzień nadto jasno mu świeci, a niema w nim tych gwałtownych sprzeczności blasku i cieni, których na tło obrazów jego potrzeba.

Oto właśnie wśród takiej fantastycznej nocy — na zakręcie z Senatorskiej ulicy na Miodową, ukazuje się coś dziwnego, w szarym pomroku nocy okrytej płaszczem chmur ciemnych.

Dziesięciu pacholków z pochodniami przodkują jak przed pogrzebem — do koła nich uwija się z na wpół otwartych bram wywabiona dziatwa uliczna, nie mogąca pojąć coby ten widok znaczył, i tem goręcej ciekawa.

Za szeregiem świateł, po śniegu zaledwie przymarzłym i niestrzymującym jeszcze głębokiem błocie, brnie kilkudziesięciu panów, pieszo, w ponarzucanych na ramionach szubach i różnego rodzaju futerkach. Są tu i polskie stroje na spasyłach jakichś postaciach, ale daleko więcej francuzkich wytwornych fraków, pończoszek i trzewiczków, peruk upudrowanych, cienkich szpadek i stosowanych kapelusików.

Starzy i młodzi wykrzykują głośno, śpiewają, wszyscy się zdając w bardzo wesołym humorze. Ale każdy śpiewa co innego, innym tonem i miarą, i najdziwniejszy chaos klei się z tych wrzasków pomieszanych z muzyką. Złapano widać gdzieś w szynku przypóźnionego cymbalistę i bębenek, i dawszy w kark kazano iść przodem przed panami. Żydek pokorny czapkę wzięwszy pod pachę, zawinawszy sino podszyte poły długiego żupana, rznie na cymbałach polskiego, którego jednak ani słyhać. Niekiedy tylko zahuczy bębenek bachura który żydowi towarzyszy, zadzwonią dzwoneczki, i znów zagłuszy je hałas pijanej czeredy.

Orszak to zaprawdę ciekawy, wesołych ludzi którym dobrze dziać się musi na świecie, że tak sobie swobodnie hulają. Co za twarze rozjaśnione, jakie miny butne, oczy iskrzące a usta rumiane! Malownicza to scena, na tle nocy ten długi szereg wystrojonych panów, brnący samym środkiem ulicy, mimo brylantowych spinek u trzewików i białych jedwabnych pończoch na nogach. Czasami podrzuci ktoś weselszy czapkę do góry wołając:

— Wiwat księżę podskarbi.

I za nim wrzeszczą wszyscy wiwat! wiwat! kilkunastu już ledwie trzymających się na nogach, ujęli się pod ręce i *junctis viribus, lawą* jak to mawiali starzy, prą się naprzód.

W pośrodku niesiony na rękach jakiś wybladły, wypłowiwały, fałszywego wejrzenia i szatańskiego uśmiechu człowieczek, w górę podniesiony, nieco szydersko spoglądając, panuje otaczającym. Jego rysów, z których krew uciekła, szła nawet i chłód zarumienić nie mogły — uderzają trupią białością i szkaradnym wyrazem wyniszczenia, w pośród rumianych głów reszty towarzystwa odróżniającym tę maskę, z paradnego ubrania, koronek, wstąg i gwiazd wystającą.

Koło niego, choć wśród ulicy, słuhać szcęk butelek i kieliszków, a niekiedy rozbijanie ich o ziemię.

— Do pałacu księcia podskarbiego! odzywają się na przodzie wiodący.

I wszyscy toczą się dalej po śniegu i błocie. Rozpustną piosenkę zanucił ktoś z idących w pośrodku, chórem odpowiadają mu wszyscy, a radośne hu ha! rozlega się wśród ulic aż po przysionkach kościołów, które mijają nie schyliwszy głowy!

— A no dalej! kto kocha księcia podskarbiego! zawołano znów, widząc że w pochodzie, nie jeden zamoczywszy nogi, ku idącym z tyłu za panami oglądał się karetom.

— Piechotę! wszyscy piechotę!

I dalej ciągnie się ów szereg, a za nim gdyby za konduktem, cały pas karet i ludzi i koni postępuje powoli w milczeniu. Wybuchy wrzasku nie jedno po drodze okno otworzyć zmusiły, nie jeden wyrzał, posłuchał, plunął na głowy pijanym i wzdychając do łóżka powrócił. W tem gdy tak idą, wprost na przeciw pędzi szparko kareta z latarniami, a przed nią sunie na koniu strojny w pasy kozak i woła:

— Z drogi!

— Co? z drogi! ty sam trutniu z drogi! krzyknęli wszyscy *unanimiter*, i kilka szabel nawet błysnęły z pochew na prędcę, szcęknęły uderzając się w powietrzu.

— Z drogi! powtórzył kozak raz drugi co raz donośniejszym głosem, nie zmieszany wcale przeważającą liczbą przeciwników.

— Na bok hultaju!

Ktoś gorący przyskoczył do kozaka, i łap konia za uzdę.

— Stój! na bok! i milczeć chcesz! mieć grzbiet cały!

Z karety która tuż nadbiegła, wysunęła się w tej chwili prześlicznie upudrowana i wryzowana, wdzięczna główka młodzieńca, który ze zdziwieniem i przestachem poglądał, nie mogąc pojąć co się stało, i dla czego wstrzymywano go wśród ulicy.

— Na bok z kareta! wołali pijani. — Ale ulica była tak ciasna, z obu jej stron leżały jeszcze stosy drzewa i kupy nagromadzonego śmiecia, że rozminąć się było niepodobna.

— Co to jest? zapytał głos z karety.

— Wiwat książę podskarbi! huknął ktoś z tłumu za całą odpowiedź, i w tem ludzie z pochodniami, cymbalista, bębenek, panowie i powozy idące za niemi, wszystko wstrzymane, zważyło się na kupę prac i naciskając.

Krzyki gniewu i niecierpliwości pomieszane z pieśnią dogorywającą i odgłosem bębenka, klótnie, przekleństwa, wszystko to razem zlało się w niewypowiedziany gwar karczemny.

— Wiwat książę podskarbi! krzyż W. pan wiwat! lub wywlecemy cię z karety i zmusim pić na klęczkach zdrowie księcia podskarbiego.

— Podskarbiego, odezwał się ktoś przystępując do powozu z nalanym i do wpół wylanym kielichem. Młody człowiek siedzący w karecie nie wiedział co począć z sobą, — zmięszął się, powstał, chciał w początku uciekać, ale nie było sposobu, bo go już zastąpiono do koła od drzwiczek i okien. W tem jakiś otyły z gęstą miną jegomość w mundurze, na którego jednym ramieniu suta szlifa jeneralska się kołysała, wpatrzywszy się w obłązonego zawołał:

— *Al ma foi!* to pan podczaszyc Ordyński. — O! z nami! z nami, nic nie pomoże! do księcia podskarbiego na wieczrę młody paniczu — ani się nam wykręcisz! to darmo! Wiem, bo byłem w Głuszy z królem jegomością, żeś tęgi do hulanki, stworzony do naszego towarzystwa — więc nie puścim cię na sucho! musisz iść z nami, ale jak my *piechotare debes!* Odprawiamy jak widzisz pobożną pielgrzymkę do pałacu księcia podskarbiego, na którąśmy sobie uczynili *votum* u synowca jego.

— Ale panie jenerale, ja nie mam honoru znać księcia.

— To najmniejsza rzecz, wylaż no jegomość ja cię tu zaprezentuję, ale z kielichem w rękę, inaczej nie.

Zamiast przybiecanego kielicha, który się już stłukł o okno karety, podano Ordyńskiemu butelkę z odbitą szyjką, i tuż pod pachy go porwawszy, zaniesiono prawie w powietrzu przed owego bladego jegomości, którego na rękę dźwigali kilku szlachty silniejszych i nie tak jak reszta zalanych.

Książę z wysokości improwizowanego swego niewygodnego siedliska, uśmiechnął się grzecznie bardzo, podając rękę młodemu człowiekowi, a Michał zdrowie jego wychylił.

Dojmujący chłód i wilgoć, która padając i marznąc okrywała wszystko szklaną powłoką, poparły żwawszym krokiem zatrzymanych panów ku pałacowi Potkańskich, oświeconemu już i gotowemu na przyjęcie gości.

Kareta podczaszyca, która przejść nie dozwalała, wywrócono na bok i orszak popędził spieszniej wspanując:

A kto nie wypije...

Tak niespodzianie wcale, podczaszyc powracający z wieczora u starościny Małogalskiej, gdzie z rozkazu matki dłużej od niej zabawił, znalazł się w całkiem nowem dla siebie towarzystwie, wplątany w rospasaną hulankę, niespokojny na czem się skończy, ale w głębi rad może ujrzeć jeden z tych sławnych balików, o których słyszał i marzył z ciekawością i strachem.

Hurmem wtoczył się tłum cały do wielkiej sali rześisto wyiskrzonej, — zwłaszcza dla oczów już do ciemności ulicznej przywykłych. Na górnem jej balkoniku huczna kapella zagrała w tej chwili poloneza, który po cymbałach, anielską się też wydał muzyką.

Sala ta dosyć wspaniała, obszerna, w chwili zabryzgana została błotem, którego dość z sobą przynieśli biesiadnicy. Niektórzy z nich zaraz obalili się na kanapach i krzesłach, inni poczęli tańcować, a tuż i lokaje w paradnej liberji z herbami Sreniawą i Łodzią weszli

z koszami wina i tacami pełnymi kielichów i puharów. Wielkie drzwi pan jenerał zamknął na klucz, rozbił szybę łokciem i klucz na ulicę wyrzucił.

— Mam tego za kpa, kto nam placu nie dotrzyma! zawołał.

W tem spojrzął na obok stojącego podczaszyca, nieco zmięszanego i tonem towarzysztwa i tem na co się tu widocznie zbierało.

— Ha! ha! młodziku — rzekł, wpadłeś w łapkę, musim ci chrzest sprawić, nie wyjdiesz nam tu na sucho. Dawajcie kielicha nie żałując miary *Iterum iterumque* zdrowie księcia podskarbiego.!

Ordyński ani się mógł, ani myślał wymawiać, spełnił duszkiem podany kielich, ale że i z owej butelki na ulicy coś do gardła poszło i na wieczery u starościny kilka kieliszków węgryzna wychylić musiał — jedno z drugim zaszumiało mu w głowie.

O! jakież to świat śliczny, kiedy młodemu wino w głowie zaszumi, zakipi a serce bić zacznie całą siłą swoją i wina.

To co w początku dziwnem jakoś i przykrem, straszmem nawet pokazało się Alfierowi, teraz powoli przekształcając się wesołem i miłem poczynąło mu przedstawiać. Twarze któremi był otoczony, przybierały wyraz szlachetniejszy, słowa dolatujące miały znaczenie przywoitsze, dostrzegał przez mgłę jakąś i dobrego tonu i dowcipu i filozoficznego pojęcia celu ziemskiej pielgrzymki!! niestety! widział tak wiele, że nawet to czego tam było najmniej, dopatrywał. Pan jenerał który się przyprzął do podczaszyca, nie odstępował go pilnując z troskliwością nauczyciela — ujął go pod rękę i gdy drzwi otworzono, poprowadził z sobą do wieczery. Zdziwił się wielce Ordyński wchodząc z innemi po kolana prawie zablocony do jadalnej sali, wśród której ogromny stół był zastawiony — ujrzawszy w niej kilka strojnych kobiet, oczekujących na towarzystwo. Ale żywy rumieniec pokrył mu twarz, gdy uspokajając go jenerał, szepnął do ucha:

— To są włoszki z baletu, aktorki i inne *ejusdem farinae* panienki bez ceremonji, które książe dla ożywienia towarzystwa zaprosił.

I popchnięto go, jako mniej znajomego naprzód, a miejsce mu dając jenerał, posadził go przy uśmiechniętej dziwnie smutnawo lalczce, której sukni dotknięcie, jakby ukropem oblało podczaszyca.

Nie śmiał na nią spojrzeć Michał, spuścił oczy, ale zawstydzony się swego wstydu po chwili, i bojąc by się z niego nie śmiano, podniósł wzrok, udając nagle bardzo wielkiego śmiałka.

Właśnie w tej chwili panienka chciała także rozpatrzeć się w swoich sąsiadach, i oczy jej, jasno-niebieskie, zielonawe oczy padły na Ordyńskiego; uśmiech odkrył białe jej ząbki, a lekki wykrzyk dał się słyszeć z ust włoszki.

— A! zawołała poczynając się śmiać — cóż to za nieznaną śliczną *cavalière*? zkądżeście go wzięli panie jenerale?

— Zdobyliśmy go biorąc szturmem butelek pociskami karekę jego, odpowiedział stary mrugając oczyma i ustami; — jest to jak WPanna widzisz niewinny baraneczek, prosto ze wsi, którego wychowanie dziś dopiero rozpoczynamy. Oddaję go w ręce twoje piękna Frascatello! dodał z uśmiechem, choć nie taję, że wolałbym kogo innego, nie ciebie coś cnotliwa do śmieszności i sztylcik nosisz za pasem.

Ordyński cały się zaplonił przeklinając i jenerała co go demaskował przed temi paniami i rumieniec niepotrzebny, który zdradzał jego nieoswojenie z podobnemi scenami. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, a sam książe podskarbi wziął go za cel grzecznych przekąsów.

Wieczera rozpoczęła się od kieliszków, a składała powiększej części z zimnych potraw, z pasztetów i najwykwintniejszych łakoci, których znużone podniebienie starych smakoszków potrzebuje. — Podczaszyca paliło i upajało co wziął w usta; zmięszany tem, popijał, coraz bardziej tracąc przytomność. Wprawdzie miał on młodą i dobrą głowę, ale nie łatwo dając się upoić do ostatka, czuł się przecie w tym stanie podniecenia, szału, w którym już człowiek za swe uczynki odpowiadać nie może. Wino czyniło go coraz śmielszym, uśmiech stawał się weselszy i głośniejszy, dowcip rozpowiadał się z pieluch, usta rozwiązywały, a nauki Labe Poinso o użytkowaniu z życia, przychodziły na pamięć w samą porę.

Obejrzał się nawet parę razy na Frascatellę obok siebie siedzącą, która nieustannie w niego wzrok wlepiony miała, i zaczynał coraz uważniej jej przypatrywać.

Śliczne to było dziewczę, ale jej piękność więcej uderzała oryginalnością swoją niż prawdziwie idealnym typem. Przy kruczej czarności włosów, których niezmiernie sploty okrywały głowę, podpięte po włosku wielkimi złocistymi szpilkami, miała twarzyczkę białą, matowej bladości, przezroczystość i delikatność cery nadzwyczajną, małe kształtny nosek, usta bardzo drobne i pełne wyrazu, a oczy niebiesko-zielone, koloru morza. Nie wiem czy ta ich barwa przypominająca głębie, które czarodziejsko pociągają ku sobie człowieka, czy wyraz szczególny smutnawy, myślący, czyniły jej wejrzenie niepojęcie ujmującym. Tworzyło to razem całość osobliwszą, dziwaczną, której wielkiego wdzięku odmówić nie było można. A na twarzyczce tyle się razem zmieszało ognia, życia, dowcipu, tęsknoty, zamyslenia, smutku! Niewielkiego wzrostu, bardzo kształtna, zwinna być musiała jak ptaszek, zręczną jak sarneczka; oczy jej latały, kręciły się, usta uśmiechały, wśród tego thumu ona jednak zdawała się nie należeć do niego, i czemś być wyższem i lepszem.

Strój jej nie był bogaty, ale tak smakownie i umiejętnie ułożony, że wdzięk jej jeszcze podnosił. — Miała suknię koloru purpurowego z białymi koronkami, wielką różę we włosach, w rękę prześliczny wachlarzyk z słoniowej kości i miniatur, cały strojny w strusie pióra, tym wachlarzykiem wywijala jak bronią. U pasa, na łańcuszku zatknięty był mały sztylcik w brązowej oprawie, który jej nigdy nie opuszczał.

Alfier wpatrywał się i wydziwić jej nie mógł, ale i ona jemu. Pierwszy to raz może zbliżyła się do niej istota tak młoda, świeża, piękna, z niestartym jeszcze żadnymi zbyt ki rumieńcem, z naiwnym prawie uśmiechem, z tem drzeniem w głosie i niewinnością patrzącą z oczów, która jest najczarowniejszym z talizmanów.

Tymczasem panowie pili, wykrzykiwali, a towarzystwo tych dam istotnie bardzo się ich zdawało ożywiać, chociaż pojąc je i żartując z niemi, nie wiele z tych istot dobyli dowcipu; — śmiały się piękne usta, ale z nich nic widać nie było prócz prześlicznych ząbków.

III

Wkrótce zdjęto nakrycia, powynoszono oczyszczone półmiski, zostawując tylko butelki i kielichy; — odezvano się o kości i karty. Niektórzy powstawali, inni zsunęli się w kupki przy dwóch założonych bankach, które czarodziejsko błysnęły natychmiast w dwóch końcach długiego stołu.

Jeden z nich założył suchy, wysokiego wzrostu, żółtej cery, czarnego oka i cudzoziemskiej fizjonomji mężczyzna, z którego stroju pełnego brylantów, błyskotek, łańcuszków, kameów i pierścieni poznać było można gracza z profesji, usiłującego dać wielkie wyobrażenie o swem bogactwie i wspaniałości. Rzucił on okiem — zawczasu zwyciężkiem po zgromadzeniu, mrugnął do kogoś w ciżbie, i przyniesiono mu kutą szkatułkę, z której na początek wysypało się okrągło pięć tysięcy czerwonych złotych. Włoch ze zręcznością kuglarza zgarnął to złoto, pobrzękując niem i układając je, żeby się pięknie błyszczało, strzepnął kartami i zawołał:

— *La banque est ouverte! Le jeu est fait!*

I znowu powiódł okiem, licząc zawczasu swe ofiary, które z pokorą przeznaczonych na rzeź bydłat, tłumem się cisnęły pod nóż wytrząsając kieszenie i sakiewki. Księżę podskarbi pierwszy dał przykład stawiając sto czerwonych złotych (kredą) na kartę zakrytą — inni pospieszyli za nim.

Na drogim końcu czupurna jakaś figurka, tłusciuchna, krągła, uśmiechająca się, miła aż do nudności, strojna także ale skromniej i z pretensją do wielkiego smaku, rzucała już kości na stół, zakładając grę także. Był to jakiś Niemiec znany ze swej zręczności w grze tego rodzaju, który wszystkich ogrywał, ale słychać z tego, że z nim można było zrobić kto co chciał, tak niesłychanie akomodujący się był i grzeczny. Trafiło mu się znosić najprzykrzejsze grubijaństwa, bez wzdygnięcia, zarumienienia, cieniu niecierpliwości, i jeszcze na nie odpowiadać ukłonem.

Tu także nie mało się biesiadników skupiło, a brzęk złota, stukot kostek w kubku, strzepywanie kartami, zmieszały się z brzękiem nieustającym kieliszków i wrzawą pijaną. Jeden tylko Alfier jak przykuty do krzesła, siedział obok Frascatelli, która nie wstawała,

rozparła się tylko, zarzuciła główkę na wysoki poręcz i dumając wachała wachlarzem, machinalnie się nim bawiąc.

Położenie Ordyńskiego było nadzwyczaj przykre — nie miał najmniejszej znajomości gry i świata, wśród którego wpadł tak dziwnym przypadkiem; — obawiał pokazać się nowicjuszem, lękał znów zbyt puścić cugli, a wino grające w nim popędzało ku wszystkiemu, od czego jeszcze młodzieńczy jakiś wstyd bezsilnie wstrzymywał.

Goście przytomni, stare wygi, poczęli po troszę śmiać się z zakłopotanego młodzika, czytając na twarzy co się z nim działo.

— A cóż bo u licha! zawołał generał podnosząc głowę i odzywając się doń z drugiego końca stołu — widzę, żeście do niczego panie podczaszycu Ordyński, ani do kieliszka, bo pełny stoi przed waszmością, czekając zmiłowania, ani do ładnej kobietki, która napróżno wlepiając oczy, oczekuje żebyś do niej choć zagadał, ani do gry — a cóż to z waści będzie? widzę, widzę, nie jesteście w stanie zdać u nas egzaminu!

Michał skrzywił się, uśmiechnął, nie wiedząc jak sobie poradzić.

— Ho! ho! dodał tłusty Niemiec od kostek łamaną polszczyzną, francuzczyzną i rodomitą swoją mową razem, gdyż z tego trojgu składał się język przez niego w Polsce używany. Dajcie pokój *monsieur general*, to młoda *Unschuld*, której się *scandaliser* nie godzi. *Cosa rara! cosa rara!*

— Będzie z waścią, panie podczaszycu dużo do roboty, zawołał znów generał — jeszcze jak uważam, gotówes się turbować, żeś na noc pacierza nie zmówił.

Śmiechy słyszeć się dały, krew do głowy uderzyła Ordyńskiemu.

— Panie generale, zawołał zdecydowany pokazać się daleko gorszym niż był w istocie, — proszę sobie nie wystawiać mnie tak młodym i tak niewinnym. Miałem przecie honor być uczniem Labego Poinso, do którego Voltaire pisywał listy, który kilka artykułów przysłał do sławnej encyklopedji i w najlepszych stosunkach zostaje z Diderot'em i d'Alembertem.

— A! kiedy tak, wieszuję i przepraszam! Jesteś więc jak uważam bez przesądów, witamy w tobie jedną z podpór przyszłości Polski! witamy — i zdrowie podczaszycu Ordyńskiego, który nie mówi pacierza!

— Wiwat! podczaszyc który nie mówi pacierza!!! odezwały się kilka głosów. Frascatella z politowaniem jakimś spojrziała na niego ukradkiem.

— Wiwat podczaszyc! dodał generał, który nie wierzy zapewne jak ksiądz Bohomolec, ani w czarownice, ani w upiory, ani w zamówienia, ani w post, ani w włosiennice.

— W nic, czego rozumem nie pojmuję! tryumfująco dorzucił podczaszyc.

— Nu, a w Pana Boga? zapytał Niemiec z uśmiechem filuternym.

— To wielkie pytanie! chytrze odparł Michał, duszkiem dla zagrzania się wychylając kieliszek.

— A to i w djabła WMOść także nie wierzysz? wyrwał się inny głos z tyłu.

— Za kogoż panowie mnie macie, żeby w djabła wierzył? — ze śmiechem rzekł Ordyński.

— A! i w djabła nie wierzy! powtórzył ktoś znowu.

— Naturalnie że nie wierzę! krzyknął Ordyński; odwrócił się, spojrzął, dreszcz go przebiegł po całym ciele, kieliszek niedopity z rąk mu wyleciał; poblądł i krzyknął.

Ażebyśmy sobie wytłumaczyli co go tak niespodzianie przeraziło, przypomnieć sobie musimy wrażenie, jakie obraz Św. Michała i przy nim odmalowany szatan czynił zawsze na podczaszycu; twarz ta wyrazistemi rysy wypiętnowała się była w pamięci jego, a ilekroć mu nawet przez myśl przeszła, jakiś strach go ogarniał, dreszcz przejmował, najeżały się włosy.

W chwili, gdy po raz drugi wiary w djabła się zapierał, odwracając się po za siebie, dla wyszukania ktoby go tak uporczywie pytał, ujrzał w zwierciadle odbite, straszny wykrzywione śmiechem oblicze szatana, zupełnie podobne do pokonanego na obrazie przez Archanioła ducha ciemności. Była to też sama twarz ohydna, z uśmiechem szyderstwa, pragnieniem zemsty i niezwykłą dumą na czole — ale żywa, poruszająca się i osadzona na plecach istoty, która się w sali znajdować musiała.

W pierwszej chwili nie będąc panem przestachu, który go ogarnął, podczaszyc krzyknął — wstyd mu jednak było dziecinnej swej bojaźni i wytłumaczył się z tego nagłym

bólem w nodze, którą jak mówił, zwichnąć musiał, idąc po nocy, lub wysiadując z karety. Odwrócił się wszakże zaraz szukając do koła postaci, co tak niemiłe a silne uczyniła na nim wrażenie; ale napróżno przebiegł oczyma wszystkich zgromadzonych, zapuszczał wzrok w kupki najdalsze, nikogo podobnego znaleźć nie mógł. Upokorzony wreszcie, zniechęcony, usiadł na krześle obok Frascattelli, która z uśmiechem dwuznacznym poczęła się wypytywać o jego skaleczoną nogę.

— Nic to, odpowiedział obojętnie ale posępnie, przejdzie ten ból, nie warto nań uważać, wstyd mi tylko mego krzyku.

— Zapić tę sprawę! podał pan jenerał przykładem wskazując jak się duszkiem spełnia kielich.

— Zapijmy, weselej odpowiedział Michał.

— Zdrowie pięknej choć okrutnej Frascattelli!

Ordyński podniósł kielich w górę, ukłonił się tancerce z uśmiechem i patrząc w jej oczy wychylił duszkiem ogromną szklanicę.

— A teraz, nie chciałbyś spróbować szczęścia, szepnął podchodząc stary urwis; mówią że ono zawsze nowicjuszom służy — zagraj! ja z tobą do spółki — chcesz?

— Nie mam prawie grosza przy sobie, odpowiedział Michał po cichu — kilkanaście dukatów ledwie, wstyd mi to postawić — i grać doprawdy nie umiem.

— Wszystko to nie przeszkody — odpowiedział nowy przyjaciel — wiele chcesz pieniędzy?

Michał zmieszał się, przywykł był grosz szanować; przychodziły mu na myśl nauki babki, ale próżność wołała żeby się nie dać zaćmić i nie pokazywać bojaźliwym młokosem.

— Parę-set dukatów, rzekł od niechcienia.

— Na, masz, wsuwając mu zręcznie w rękę parę ruloników, odpowiedział pan jenerał — a te drugie dwa to moja spółka, graj a graj śmiało — Frascattella przy tobie, musisz wygrać.

Drżącą trochę ręką ale z pańską miną, podczaszyc podsunął od razu cały rulon na kartę nie patrząc którą, a gdy bankier ciągnąc począł, on się odwrócił instynktownie ku pięknej włoszce, żeby niedać poznać, że go wygrana obchodzi. Ruch to był wybornie pomyślany, ale trochę zdradzał zbytnią pamięć na siebie, bo w tak młodym człowieku nie był naturalnym.

Pociągniono go za rękaw.

— Wygrałeś pan, rzekł żółty bankier — co dalej? trzyma pan dalej?

— Trzymam dalej! obojętnie rzucił słowo Ordyński, nie dobrze nawet rozumiejąc co znaczyło.

Frascattella z wyraźną litością i niepokojem spoglądała to na karty, to na niego, a uśmiech ust jej nie opuszczał, ale nie był to uśmiech wesela, była to powłoka smutku, tęsknoty, politowania.

— Pan wygrywa? czy idzie dalej? ocucił go znów głos bankiera.

— I owszem idzie dalej!

Jenerał z kieliszkiem w ręku, z krwią najzimniejszą na pozór, pilnie przypatrywał się grze, ale gdy szósty raz wygrał podczaszyc, zmieniwszy dwa razy kartę, szepnął mu odciągając go:

— Dostyc tego, postawisz pan znowu później mniejszą sumę, teraz się obrachuj.

W istocie czas było się obrachować, gdyż banku nie stawało, a szczęśliwy gracz ujrzał przed sobą niespodzianie kupę złota, z którą nie wiedział co robić.

Ogromne brawo! ze wszystkich kątów sali zagrzmiąło rozgłosnie, sam książę podskarbi zawołał o wino i przyszedł z uśmiechem wypić znowu zdrowie tryumfującego podczaszycy. Bankier tymczasem dobywał ze szkatułki podanej pieniądze i bez najmniejszego wzruszenia zaczynał robić karty na nowo.

— Spisałeś mi się pan gracko! obrachowując i ściągając swoje, odezwał się stary wyga — ja bastuję i dalej nie myślę gonić za fortuną, żeby się do nas nie obróciła smutną twarzą; tych dwóch tysięcy kilkuset dusiów na ten raz będzie mi dosyć. WMość tak *gloriose* począwszy, możesz sobie jeśli chcesz kontynuować. Jedną tylko przyjm radę, dodał na ucho — gdy zaczniesz przegrywać, co w końcu nastąpić musi, nie zapalaj się i usuń od gry zawczasu.

Podczasyc po świeżym zwycięztwie ufny w swoje szczęście z uśmiechem posunął dwa rulony, a sam odwrócił się znów do Frascatelli. Ale rulony potoczyły się do dawnego właściciela, za nimi poszły dwa inne i trzy jeszcze...

— Dość tego będzie ciągnąc go z lekka za połę odezwał się pierwszy nauczyciel; świtać poczyna, dzień się robi, jedźmy do domu, wyprowadzę cię z sobą tylnymi schodami.

Posłuszny Michał, który się też czuł ogromnie znużonym, dał się jakoś od gry, do której się jeszcze nie zapalił odciągając, zgarnął zręcznie w chustkę pozostałe złoto, skinieniem pożegnał piękną włoszkę i miał wysunąć się po cichu, gdy ujrzał ją idącą za sobą, zawiniętą w futerko, proszącą żeby ją ze wschodów do czekającego fiakra sprowadził.

Jenerał który szedł przodem, obejrzał się na tę śliczną parę, dość powoli za nim ze wschodów się spuszczał i westchnął.

— Niema to jak młodość! zawołał w duchu — wszystko do niej lgnie — kobiety, pieniądze; wino jej nie robi podagry, ani przejedzenie niestrawności! Co też to za szkoda że to tak krótko trwa, a nie chce się potem wracać. Niema porządku na świecie, daremna rzecz, źle! źle! W porę się ludzie opatrywać zaczynają, że trzeba by świat z gruntu przerobić. Byle się im ta antrepyza udała za moich czasów — wielce bym sobie powinszował... Ale nie mojem szczęściem! Odkryją nieśmiertelność i wodę odmładzającą nazajutrz po moim pogrzebie.

IV

Dobrze już jasny był ranek, gdy podczasyc do najętego fiakra wsadziwszy towarzyszkę swoją, jeszcze za nim tęsknemi goniącą oczyma, sam z jenerałem wskoczył do swojego powozu.

Po nocnych wypadkach, doznanych wrażeniach i całej tej hucznej biesiadzie, która mu się teraz dziwnym snem przy dniu jasnym wydawała, czuł się czegoś niespokojny i zawstydzony. Blask dzienny rozpędzał resztę szału, wytrzeźwiał go i upokarzał. Przypominał sobie teraz, gdy wino cokolwiek przesumiało, owe widzenie w zwierciadle w chwili zaparcia się djabła, i poczynął śmiać z niego w duchu, przypisując je rozognionej węgrzynem wyobraźni.

— Jużciż o tem przynajmniej — rzekł w duchu — wątpić nie mogę, że djabła na świecie nie ma. Ależ to ładny szatanek ta Frascatella, tylko poco sztylecik u boku nosi?

Potrzeba było odwieść jenerała, który mieszkał tuż przy zamku i powóz potoczył się na krakowskie przedmieście, ku bramie krakowskiej, w pośród licznej już na ulicach ludności, gwarnie dzień pracy, dzień Boży rozpoczynającej. Zewsząd słychać było dzwony, weselej jakoś niż w wieczór wzywające na nabożeństwo do otwartych kościołów, skrzypiały wozy na targ ciągnące, przekupki rozstawiały stołki i otwierały stragany, odryglowano sklepy, zamiatano z przed kamienic szczątki wczorajszego życia co się już śmieciem stały; kilku poważnych starców na laskach opartych, z książeczkami pod pachą, z różańcem w rękę dążyło ku Bernardynom, przekupnie poczynali wywoływać świeży swój towar — wszędzie wesoło jakoś i raźnie dzień się otwierał, któremu też przy lekkim przymrozku, piękne, zimowe blade świeciło słończko.

Podczasyc jeszcze do miasta nie bardzo przywykły, ciekawemi oczyma przypatrywał się wszystkiemu, a nieznanne jakieś uczucie tęsknoty budziło w nim wspomnienie tej ohydnie przepędzonej nocy, z której jakby zadatek od szatana, wziął kupkę nie wiedzieć jak zdobytego złota.

Jenerał, który znać dobrze pojmował, co się w młodzieńczej duszy dzieć musiało, dawszy trochę podumać towarzyszowi swemu, przerwał wkrótce, klepiąc go po ramieniu z uśmiechem.

— A co, niezła panie Warszawka? — rzekł śmiejąc się i pomrugując do niego — spodziewam się że ci panie podczasycu nie żal wsi, gdzie ludzie prędziuteńko mchem porastają i starzeją po dwudziestu pięciu latach, tu dopiero życie! przyznam się asindzi-jowi, że ja nie pojmuję, jak to gdzieindziej, nie w mieście mieszkać można. Prawda, że służyłem jeszcze za nieboszczyka Sasa, ale gdyby mnie kto teraz wypędził na wieś, trzeciego dnia bym z nudy poszedł *ad Patres*. Tu to się jakoś żyje... a co za przyjemność na wsi? — dodał ożywiając się — skąpicie, żyjecie kaszą i szperką, a w święto chudą kurką, modlicie się co niedziela, kochacie dopiero u ołtarza i to raz tylko, reszta wszystko w tym

rodzaju. Może to być bardzo patryarchalne, ale ja tego nie nazwę życiem. Ot patrz waść, wolałbym już los Orlandiniego niż najbogatszego szlachcica na wsi — dodał wskazując pod krakowską bramą przez którą właśnie przejeżdżali, dziwnego człowieka, ustawującego sobie wygodne krzesło na słomiance dla ochrony nóg podrzuczonej u samych prawie wrót od strony zamku. *Orlandini* ów, acz nieznacząca figura i dziś zapomniana, gdyby jej ryłec dowcipny Norblina nie unieśmiertelnił, był przecie charakterystycznym typem epoki, wśród której w Warszawie się zjawiał. Rodzice jego jak próbuje nazwisko, z Włoch pochodzić musieli, on sam urodził się w Polsce ze wszystkimi wadami wieku i narodu do którego należał. Ojciec jego trzymał garkuchnię, syn także spróbował, był naprzód tego rzemiosła, pomagając sobie pochlebstwem i wszelkiego rodzaju posługami, jakie tylko przyjaciół możliwych jednać mogą. Godziwe i niegodziwe w słowniku jego nie miało miejsca, a to co inni tak zowią, on zwał tylko taniem lub drogiem. Z garkuchni przeniósł się do winiarni, ale i tu podupadać zaczął; bo jak w pierwszej sam jadł najwięcej, tak w drugiej spijał co najlepszego. Najął potem dom zajezdny, utrzymywał jeszcze konie i karety, ale wszystko się jakoś nie szczęściło, gdyż pomimo zarobków, *Orlandini* żył nie żałując sobie, szafując dla siebie i przez to nie tylko nie zbierał, ale coraz to kapitaliku nadkasywał.

Tak mu wiek spłynął na różnych próbkach i coraz dotkliwszych stratach, ale szatając się po świecie i stykając z panami i szlachtą, Włoch grzecznością, usłużnością i dobrym humorem wielu sobie zrobił przyjaciół. Wkrótce nadeszła pedogra i odjęła mu pobrzękłe nogi, tak że się z trudnością z miejsca na miejsce mógł przenosić. Nie było już co począć z sobą, potrzeba było żebrać, pod pozorem uzbierania nowego kapitaliku na garkuchnię czy winiarnią.

Orlandini wszakże nie puścił się na pospolitego odartego żebraka, wyciągał rękę i kapelusz jak prawdziwy włoski *lazzarone*, z pewną godnością i dumą, niekiedy częstując tabaką a zawsze jakim wesołym żarcikiem tych co go częstowali pieniędzmi.

Zasiadał zwykle od strony zamku pod krakowską bramą, latem i zimą, w godzinach zwłaszcza gdy jechali lub wracali z zamku znajomi jego — ale na wygodnym wybitem krześle i poduszkach skórzanych. Ujrzawszy zdala karete, powstawał bardzo zręcznie na dwóch kulach bez których się podnieść nie mógł, zdejmował trójgrianiasty kapelusz ze starej żółtkiej peruki i z uśmiechem dobrej znajomości witał przybywających. Rzadki był dzień żeby jednego lub więcej dukatów nawet nie złapał, król regularnie ile razy jechał do miasta, kazał koniuszemu rzucać pół talarza, ale to było niechybne jak pensja. Inni panowie hojniejsi niekiedy aż do kilku dukatów pod dobry humor i za dobry koncept się posuwali. Oprócz tego, strój *Orlandiniego* dowodził, że nań spadały resztki z garderoby *Jaśnie Wielmożnych*; wychodzone ich suknie i kamizole wszystko na nim aż do futerka pokrytego niebieskim sukniem, które był darował Brunet kamerdyner królewski, do haftowanej vesty hetmana *Branickiego*, fraka sutego z guzami stalowymi od kasztelana *Łukowskiego*, i mankietów żółtych wyciągnionych z garderoby marszałka koronnego — pochodziło nie z tandety ale z darów.

I teraz lepiej mu się ze wszech miar działo pod krakowską bramą, niżeli dawniej na handlu; — stary nie żałował sobie, bo miał z czego. Znać też było po twarzy pełnej rumianej, rozweselonej, i po spasyłym brzuchu, który się ledwie mieścił w trochę przyciasnej kamizelce hetmańskiej, że *Orlandini* głodem nie marł.

Nie wyglądał on wcale na żebraka, tak dumnie w tej dnia godzinie spoglądał z wysokości swojego krzeselka na pracujący i krzątający się motloch, nie spodziewając się karety o tej porze, gdyż dla karet inną miał minę.

Właśnie był sobie wystawił krzesło na grubej słomiance, obwinął nogi, i posławszy po zwykłą porcję kawy do blizkiego kafenhauzu, zjadał ją ze świeżą buleczką. Jadł i popijał tak żarłocznie, chciwie, z takim zwierzęcym łakomstwem, jak gdyby z wieczora opuścił kolację, chociaż obiady i wieczerze najregularniej i to w dobrej garkuchni miał zamówione, nie oglądając się na to, choćby go talar i więcej kosztować miały.

Zresztą na inne życia potrzeby nie wiele tracił — stancijkę miał w tyle kamienicy pod krakowską bramą, mizerną i małą, ale w niej tylko nocował — ubrania nie kupił, bez obowiązu z łaski podagry się obchodził, nogi mając tylko grubą flanelę poobwiązywane, a jedne trzewiki na cały rok starczyły.

Na widok karety w której postrzegł jenerała, Orlandini schwycił się na kule, stawiając niedopitą kawę na słomiance i z wielką zręcznością, z uprzejmą a wesołą twarzą, przybliżył się do powozu wolno go mijającego.

— Stój — zawołał pan jenerał — wygraliśmy dzisiaj, należy się staremu niedoładze jałmużna. — Jak się masz Orlandini?

— Do nóg upadam pana jenerała — głosem dosyć schrypłym ale intonacją miłą przybrać usiłującym, rzekł podsuwając się pod same drzwiczki żebrak — a zkaąd-że to tak późno, czy tak rano? jak tam szczęścieczko posłużyło?

Mrugnął okiem zapuchłym i zaspanym, a dopatrzwszy się kogoś drugiego w karecie, z ciekawością usiłował przyjrzeć się nowej, nieznamomej jeszcze twarzy podczaszyca.

— Kto to taki? — spytał po cichu nie mogąc ciekawości pohamować — kto to, proszę pana jenerała?

— Podczaszyc Ordyński!

— Mam honor prezentować się JW. podczaszycowi, głośno z ukłonem rzekł wesołym tonem Orlandini; — jestem Mikołaj Orlandini, znany w całej Warszawie i samemu Najjaśniejszemu i najlaskawszemu Panu naszemu. Miałem szczęście znać i nieraz przyjmować *w domu moim* jaśnie wielmożnego podczaszego, godnego ojca pańskiego, gdy jeszcze starał się o piękną księżniczkę W... miło mi submittować się dziś przeczacnemu jego potomkowi!!

Podczaszyc z bardzo grzecznym ukłonem zaczerpnął w leżącej na kolanach chustce ze złotem, i rzucił nie licząc sztuk kilka Orlandiniemu; jenerał wsunął mu także dukata. Włoch nakrył głowę dziękując z wielką godnością, jakby za wypłatę zaległej należności.

— Dziękuję! ślicznie dziękuję! i życzę JW. panom wszelkiego szczęścia! a podczaszycowi polecam się i submittuję! nie raz pewnie przyjdzie mu przejeżdżać do zamku, niech nie raczy Orlandinięgo sługi swego zapominać.

To mówiąc, trykorn już nałożywszy, pospieszył skacząc na kulach do zostawionej kawy, którą uboższy od niego pies wywróciwszy kubek wypijał, bułką zajadając. Śmieli się przechodzący i kramarze, a Orlandini za uciekłym już psem wywijał groźnie kulami, klnąc na czem świat stał.

U wrót domu jenerała pożegnał go podczaszyc spiesząc do siebie, pewien że matka czeka nań niespokojna, zwłaszcza że w tym dniu właśnie, wczoraj zamek i znajomych pożegnawszy, wybierała się opuścić Warszawę, a Michał miał ją odprowadzać do Łowicza.

Nie mylił się, gdyż cała służba podczaszynej zgubionego jej syna jak szpilki po Warszawie szukała, a że nikomu na myśl nie przyszło zajrzeć na dziedziniec domu Potkańskich, gdzie stała kareta pana Michała, wszyscy powracali bez wieści, a matka domyślała się już daleko szaleńszego wybryku niżeli był w istocie.

V

Wszystko jednak dobrze rozważywszy, pani podczaszyna nie doczekawszy syna, położyła się spać, przykazawszy tylko ludziom, aby go pilno szukali. Michał zastał ją spoczywającą, wszystkich sług na nogach i dom cały w trwodze. Znużony, rzucił się co najprędzej w łóżko, sen mu jednak powiek nie kleił, a najosobliwsza mozaika myśli i obrazów wirem pędziła z piersi do głowy, z głowy do piersi.

Spokojna Głusza, pacierz u kolan babki, czarne oczy Anusi, jej uśmiech niewinny, wykrzywiona twarz djabełska, pociągający melancholją wzrok Frascatelli, szatańskie żarty i śmiechy biesiadników, scena nocna na ulicy, namiętne pierwszy raz skosztowane gry uczucie, jakaś tęsknota nieopisana, niepokój i zgryzota, męczyły na przemiany Michała, który przypomniał sobie dane babce słowa, że się codziennie choć krótko modlić będzie.

Niestety! od wyjazdu z Głuszy ani pomyślał o pacierzu, a teraz tłumacząc się sam przed sobą, szydził z uczynionej staruszce obietnicy. Jednakże na dniu serca wpojona za młodu odywała się pobożność, tęskniła do niej dusza, i szatan ów z obrazu przychodził na myśl mimowolnie, a dreszcz przelatywał po skórze.

— To było czyste tylko przywidzenie — rzekł wreszcie do siebie Michał — gra jakaś wzburzonej winem imaginacji — hallucynacja, jak mówi Poinot, nic więcej, wszakże nie jestem dzieckiem bym w głupstwa takie miał wierzyć.

Ale na przekór rozumowaniu, przed oczyma podczaszycy wciąż się zwiłaj z uśmiechem swoim szatańskim ten potwór, którego z głowy, z oczu, z pamięci pozbyć się nie mógł.

W takich męczących marzeniach, dusząc się i niespokojnie drzemiąc, usnął w ostatku Michał gorączkowym snem znużenia.

Zbudził się na skrzyknięcie drzwi i ujrzał przed sobą matkę, w stroju podróznym, jakby była na wsiadaniu.

— Co to jest? czy już tak późno? — zawołał schwytyjąc się — wszakżem się ledwie trochę zdrzemnął.

Podczaszyna podniosła do góry swój zegareczek wskazujący pierwszą z południa i spokojnie usiadła przy nim na krześle.

— Trochem się była zaturbowała o ciebie, odezwała się po chwili — ale chwała Bogu nic ci się przecie nie stało.

— Nic, tak! nic a nic, kochana mamó — przecierając oczy odpowiedział podczaszyc — ale proszę mnie posłuchać, jakim niespodzianie tę noc spędził na hulance.

I z żywością młodzieńczą począł jej opowiadać swoje spotkanie uliczne, zaprosiny gwałtowne do podskarbiego, cało-nocną u niego biesiadę — opuszczając jednak wiele, bo ani o djable, ani o Frascatelli nie wspomniał. Podczaszyna słuchała go dosyć obojętnie, ale z uwagą, zdawała się jednak zgadywać z góry co jej powie i gdy dokończył, podniosła na niego oczy, w których było widać łez ślady.

— Chciałam — odezwała się — żebyś mnie odprowadził — ale to już niepodobna, bylibyśmy sam na sam pomówili z sobą. Zdaje mi się obowiązkiem moim dać ci niektóre przestrogi, chociaż zostawując cię pod opieką króla i Labe Poinso, odjeżdżam zupełnie o ciebie spokojna. Wchodzisz w świat Alfierze i widzę, że ku niemu masz dosyć skłonności, radabym, żebyś na nim jak przystoi synowi memu drogę sobie utorował.

Dzisiejszy przypadek niech ci będzie przestrogą i nauką, jak się masz znajdować na świecie. Pochwalam bardzo żeś się od kompanji nie odstrychnął, ale nie radzę też z lada kim się bratać. Nie wymagam od ciebie zbytnej surowości obyczajów, która w tym wieku byłaby niewłaściwą, ale cię proszę żebyś swe pasje hamował i zawsze w nich zachował choć powierzchowne *decorum*. Świat sądzi surowo nie z czynności i myśli, ale z pozoru, o pozór też chodzi najwięcej.

Bóg wiele przebacza, ludzie nigdy.

— Kochana mamó — odparł całując ją w rękę podczaszyc — proszę być o mnie spokojną, nic nie uczynię co by poniżyć mnie mogło.

— Ani się też o to lękam, ale cię proszę nadewszystko w obiorze przyjaciół i partji być ostrożnym. Miejsce twoje naturalne na zamku w gronie tych co otaczają Najj. Pana; chociaż, może się bardzo mylę, zdaje mi się, że wkrótce przeciwne stronnictwo w kraju weźmie górę. Nie staw się więc tak przeciwko niemu, żebyś z nim zupełnie i stanowczo zrywał, zapatruj się na ludzi co umieją sercem sprzyjać jednej stronie, ze wszystkimi być dobrze, lub przynajmniej nie źle.

Nic cię nie zmusza raz wraz popisywać się z sentymentami swemi, strzeż się zbyt je głośno objawiać. Żyjąc na dworze, z konieczności trzeba być ostrożnym i dwuznacznym, dla wszystkich grzecznym, bo nikt nie wie jutra i tych co jutro panami być mogą. Zapatruj się tylko uważnie na Najj. Pana, on ci najlepiej wskaże z której strony wiatr powieje. O jego łasce dla ciebie nie wątpię.

— Będę posłusznym kochana mamó — rzekł Michał — ale czyś mnie raczyła polecić opiece króla JMci?

— Wczoraj jeszcze przypomniałam mu ciebie — odpowiedziała podczaszyna — ale słuchaj mnie i nie przerywaj proszę. Z familją bądź jak najserdeczniej, a nadewszystko z zamkiem, nie zaniedbuj wszakże i przeciwnych, bywaj wszędzie, tylko się nie mieszaj do klubistów, z którymi o ile możności zdaleka i ostrożnie. U Luchesinich i u posła trzeba się pokazywać zarówno, dobrze miarkując jak rzeczy stoją, nie obrażając nikogo. Jeśliby uchowaj Boże nadeszły jakie niespodziane wypadki, pamiętaj proszę, że na chwilę może jakiegokolwiek przeważać stronnictwo, ale prędzej później silniejsi, liczniejsi wezmą górę. Nie narażaj się i trzymaj na stronie. Służby wojskowej nie życzę dla ciebie, boś słabego zdrowia; jeśliby zaś jaki wakans się trafił przy osobie króla JMci, i owszem...

Rady te cichym i ostyglým powoli rzucane głosem, dziwnie brzmiały w uszach i sercu Alfiera, który w istocie więcej myślał o pięknych twarzyczkach i zabawach, niż o partjach i stanowisku jakie miał sobie obrać między niemi.

— Co się tycze sposobu życia, dodała podczaszyna, spodziewam się że mi wstydu nie zrobisz, ani zbytkiem swawoli, ani śmiesznem dziczeniem się i nieśmiałością. Młody człowiek powinien być swobodny, pewien siebie, trochę mu trzpiotem być wolno, ale cugli sobie nie popuszczając, a nadewszystko... serca nie dawać nikomu! O ożenieniu proszę nie myśl zawczasie, bo bym na nie nie zezwoliła, sama ci chcę wybrać i wyswatać żonę. Zresztą z kobietami bądź ostrożnym. — Warszawa jest stekiem zalotnic, a najgorsze nie są podobno na dole! Wiem że młody, bogaty, pięknego imienia, wystawiony będziesz na rozmaite sidła, ale mam nadzieję, że w nich nie ulgniesz. Słuchaj we wszystkim i radź się Labe Poinot, on ci niech będzie mistrzem. — Nadewszystko żadnych tajemnic przedemną. Pisz mi ze szczegółami co ci się tylko trafi i donoś co się w Warszawie, w świecie waszym dziać będzie. A teraz kochany Alfierze, żegnaj cię sercem matki, bądź zdrów!!

To mówiąc powstała równie zimno, obojętna jak gdyby rozpoczynała rozmowę, znać myśli jej i serce były gdzieindziej. Westchnęła zlekka i całując w czoło Alfiera, pożegnała go francuzkiem do widzenia.

Niktby przy tem rozstaniu, matki i syna w nich nie poznał, tak oboje rozchodzili się jakoś bez uczucia, bez łez, bez żalu za sobą. Alfier wyskoczył się ubierać, chcąc koniecznie choć za miasto przeprowadzić podczaszynę, ale nim na siebie suknię narzucił, nim się ogarnął, powozy jej już z dziedzińca ruszyły, a że się czuł zmęczony niezmiernie nocnem czuwaniem i pieszczoszek potrzebował jeszcze wypoczynku, ażeby świeżym pójść na wieczór do zamku, usiadł ziewając w krzesło posławszy po czekoladę, zostawując przeprowadzenie matki Labe Poinot.

Służący, który śniadanie przyniósł, oddał mu razem listę osób i kilka biletów rzucanych w bramie, świadczące że wielka część wczoraj z nim poznanym, już mu ranną grzeczną wizytę oddali, lub przynajmniej zapisali się u szwajcara. Nawet książę podskarbi i syn jego przysłali karty swoje; Alfier więc nieuchronnie przed wieczorem w zamku, powinien był tych panów wzajemnie objechać.

Przerzucając od niechcienia spis tych imion w części mu całkiem nieznanych, znalazł podczaszyc jedno, które go mocno zastanowiło. Był to złocistemi głoskami wycisk na pomarańczowej karteczce w następujących wyrazach:

Cavaliere Fotofero.

Nie wiedzieć dla czego, Michał powiedział sobie od razu, że ta karteczka i nazwisko musiały mieć związek z wczorajszem jego widzeniem. Długo przewracał ją, odczytywał, marszczył brwi, sam siebie zbijał i wyśmiewał — nareszcie postanowił zapytać jenerała o tego kawalera Fotofero, rzucając bilet zniecierpliwiony.

Właśnie w tej chwili jakby umyślnie przybył i pan jenerał sam, niespokojny widać o Michała, którego wziął pod opiekę swoją i jak wychowawca uważał.

Słówko o panu jenerale... (przypuśćmy że się nazywał Baucher). Widzieliśmy go już u księcia podskarbiego, słyszeliśmy popisującego się rozmaitemi zdaniem, lecz nie zawadzi poznać się z nim bliżej.

Jak Orlandini był typem żebraka stołecznego Stanisławowskich czasów, tak jenerał Baucher próbka wielce charakterystyczną dworaka w mundur ubranego.

Jemu podobnych miał ów dwór dosyć i najchętniej się niemi posługiwał; z kąd by pochodził i jakiego był rodu pan jenerał, nikt dokładnie wiedzieć nie mógł, nazwisko nosił niemieckie, a mienił się szlachcicem z Inflant czy z Kurlandji, z kąd do stolicy nie jedno podejrzanie przypłynęło szlachectwo. Za Augusta III jeszcze przybył on do Warszawy, wysługiwał się naprzód w regimencie Potockich, potem doszedł stopniami do pułkownikostwa i jeneralstwa, zawsze więcej wisząc przy dworze i zbijając bruki, niżeli wachając prochu i włócząc się za regimentem. Mundur dla niego był tylko pozorem, tytułem, środkiem do życia w ostatku, ale za główne zajęcie nie uważał broni i wojennego rzemiosła. Potoccy używali go do swoich spraw sejmikowych i trybunalskich, wiedli do poselstw, na deputację i dysponowali nim jak chcieli. Jenerał nie przypatrywał się temu z bliska co robił, nie rozbraiał czy było sprawiedliwe czy nie, jakie za sobą wiodło następstwa, a posłuszny klient domu, przysięgły przyjaciel jego, czynił ślepo co kazano. Nie miał

on nadzwyczajnej odwagi, ale że naczelnicy partji rzadko własnego łba nadstawili, najczęściej się zastawiając plecami podwładnych, jenerał zaś intrygować i hałasować wybornie umiał — powodziło mu się niezgorzej. — Dobywał on szabli nieraz, ale po pijanu i gdy nieprzyjaciela na placu nie było, lub gdy dobrze wiedział, że znający jego impetyczność adherenci, zaraz go za ręce pochwycą.

Tak jakoś szło panu jenerałowi, że z promocji w promocją dostał kaduka którego sprzedał, sołtysostwo jakieś także prędko przefrymarczone na gotowy grosz, na ostatku stopień jeneralski, pensją, a co najlepiej, że zaraz w początku panowania Stanisława Augusta potrafił stać się potrzebnym królowi, później zaskarbić sobie u niego zasługi, nareszcie w codziennem jego życiu być już niezbędnym i niepozbytym sprzętem.

Winien to był niepospolitemu talentowi do intrygi, łagodności, dowcipowi swemu, usłużności i gotowości z jaką nie wzdygał się wszelkich podejmować poselstw i poleceń. W gruncie był to nie bardzo zły człowiek, który jeśli zdradzał przyjaciela, to z boleścią serca najwyższą, dobrowolnie nikomu źle nie czynił, i owszem usłużyć lubił, ale przedewszystkiem i wszystkiemi kochał siebie.

Celem jego życia było samo życie — nie życie byle się wlekło, ale co się zowie wygodne, rozkoszne, zbytkowe, błyskotliwe i hulackie. Temu by był poświęcił więcej niż się godziło. Gorliwy w spełnianiu rozkazów, nigdy przecie nie posuwał poświęcenia do głodu, pragnienia i anachoretyzmu chociażby krótkiego; a gdy mu wypadło wybierać między prywatją a nieposłuszeństwem, póty szukał środka, dopóki go wreszcie między niemi nie namacał i wykręcił się sianem.

W nauce życia jak w reszcie wychowania sam był swoim mistrzem — mówił kilką językami doskonale! mięszal czasami trochę łaciny, którą z uczęszczania trybunałów wyniósł; po francuzku paplał gładko, po niemiecku szwargotał *expedite*, po włosku wcale niezgorzej się wysławiał. Głębiej biorąc, żal było dobrego serca, które miał niewątpliwie, utopionego w takim braku charakteru. Ani wiary, ani wyższego pojęcia godności i obowiązków człowieka, nie można tam było szukać; brzuch panował całemu żywotowi, odrobinką rozkoszy byłby go zaprowadził do wrót samego piekła.

W towarzystwie był to najprzyjemniejszy w świecie człowiek; acz już dobrze nie młody, czciciel jeszcze wielki płci pięknej, a nawet i nie bardzo pięknej byle młodej; do kart namiętność nieprzewyciężona, ale umiarkowana strachem; pieczeniarski w swoim rodzaju najdoskonalszy, bo dla potrawy nowym smakiem przyrządzonej, gotów był się maleńkiej podłości dopuścić.

Lubił przytem pieniądze, choć go się nie trzymały, bo ich nie szanował — długów miał zawsze po uszy i śmiał się z nich, tylko honorowe to jest kartowe płacąc, a o innych ani myśląc. Przy dość znacznych dochodach, potrzebował ciągle, nieustannie pożyczał i tracił zawsze dwa razy tyle co miał.

Król bardzo lubił jenerała Bauchera, choć może nie miał dla niego wysokiego szacunku; czasem pożartował z niego, na co ten zezwalał ochotnie, bo wiedział, że im żart był boleśniejszy, tem się później sowiciej wypłacał; i jak Ryx nadstawiał się na łajanie lub, wedle famy pospolitej, szturchanie nawet, tak Baucher wywoływał niekiedy królewskie przycinki. Król używał go też często do sekretnych poleceń, wysyłał w różnych poselstwach, a za to ratował w potrzebie. Ze wszystkiemi usiłując być jak najlepiej, jenerał bywał wszędzie, nie zważając i nie przypatrując się bardzo jak go przyjmują. Jednakże książę podskarbi, pan hetman Branicki, pan kasztelan... i kilku ludzi tego rodzaju co lubili żyć, a nie zbyt surowej trzymali się moralności, składali najmiłsze jego towarzystwo. Sejmikowiczów obywateli, co to ostro byli zwykli stać przy swoim zdaniu, surowo się z życia swojego rachowali i do podobnej rachuby zwykli byli drugich pociągać, nienawdził i unikał. Wszelki zapał zwał on *bzikiem*, i dla niego dość było mieć wiarę w przyszłość, lub nieprzeparte zasady postępowania, żeby o *bzika* być posądzonym. W tem też podobno jenerał Baucher nie wiele się sposobem widzenia rzeczy różnił od pana Poniatowskiego, któremu zarówno brakło zapału i wiary, a przeto się one w drugich jakąś chorobą i aberracją wydawały.

Wszelki młody człowiek, przybywający do Warszawy, przechodzić musiał przez ręce jenerała i prędzej później opłacić mu należny podatek pożyczką pieniężną. Stary frant trzymał się tu niechybnie jednej zawsze i szczęśliwie obranej drogi: — naprzód stawał się użytecznym, nadskakującym, ułatwiał znajomości, wskazywał miejsca dogodne, oso-

by potrzebne, wprowadzał na dwór i do posłów, kupował karety i konie, forytował po mieście, prezentował, zalecał i obwoził — potem suto częstował przybyłego, poił, a jeśli się zgrać uczciwie nie udało, bez szachrajstwa ale po pijanemu, wprost przychodził o pożyczanie na dni kilka nie mniej jak kilkaset dukatów. Odmówić było niepodobna przyjeżdżającemu karetą i wprost z zamku, ale z pieniędzmi już się więcej nie zobaczył wierzyciel. Czasem tylko udało się potem przegrawszy do generała w karty w ten sposób pokwitować, ale w takim razie podatek uważał się za niepłacony i pożyczka rekapitulowała tylko innym pozorem i formą.

Ze sposobu życia Bauchera widzimy już że nie mógł się żenić, ożenienie nawet przeciwnie było jego zasadom, bo wiodło za sobą obowiązki i pewien rodzaj pęt uczciwych, a on spętany już swem położeniem, cenil tę resztkę swobody jaką miał. Wprawdzie jeszcze za Sasa ożenili go byli prawie z wdówką jakąś w Lublinie, ale zachwyciwszy od niej tysiąc dukatów, od kobierca stchórzył, posławszy tylko skrypt na miejsce swoje, którego naturalnie nie zapłacił potem. Kobiety lubił bardzo, kobieciarz był wielki, ale wyłysawszy (czego pod peruką widać nie było) i nieco utywszy, w salonach powodzeń się wszelkich wyrzekł w porę i zwrócił ku tancerkom, śpiewaczkom i tym podobnym, łatwiejszych obyczajów a mniej wybrednego smaku, kobietom.

Miłość uważał jak obiad — doskonałą póki świeża i gorąca, niestrawną gdy ostygła, co dzień też szukał sobie nowej, jeśli nie miłości to miłostek, dla siebie i dla drugich, bo i w tym względzie usłużnym był na podziw. Utrzymywano powszechnie, że on pierwszy, nie starosta Piaseczyński, miał honor zapoznać Stanisława z piękną panią Lhuillier, która chwilę jakąś zdawała się iść o lepszą z panią N. N., dopóki Stanisław August nie uległ zupełnie nałogowi, który go coraz więcej do niej przywiązał i na wieki przykuł wreszcie... a jak niektórzy utrzymują ślubem się nawet tajemnym z nią połączył.

VI

Widzę że trafiam na czekoladę, trochę to późno — rzekł generał siadając zasapany — ale jeśli dobra, prawdziwa włoska, możebym się jej i napił. Od niejakiego czasu naśladować począłem króla, *exemplum ab alto* i filiżanką buljonu posiłam się z rana, ale że mi go Tremo i Szytz nie sporządzają, tylko Kopcidym z garkuchni pod Łososiem — coś mi to nie służy, nie posila.

Podczaszyc kazał podać czekoladę, a generał surowo zalecił, żeby mu do niej wody zimnej i biskoktów podano, poczem podspiewując zasiadł wygodnie na kanapie.

— No kawalerze — rzekł — jak-że się spało po wczorajszej eskapadzie? domyślam się że dobrze, bo długo.

— Aż nadto — odparł podczaszyc — miałem matkę przeprowadzić do Łowicza, aż mi teraz wstyd, że bezemnie pojechać musiała.

— Pojechała! szkoda! dokąd-że przecie?

— Do Włoch...

— Szkoda! wielka szkoda! że nas pani podczaszyna opuściła (w duchu dodał: dobrze zrobiła że sobie pojechała) — była to jedna z ozdób Warszawy i dworu naszego, dziwnie zakonserwowana piękność!! Nie znam przytem kobiety z większym taktem, z lepszym gustem i wyborniejszym tonem, tak jak ona swemu czasowi odpowiadającej. Król JMć w największej ją zawsze miał estymacji — wielka szkoda! — dodał wzdychając — ale podczaszyc nam zostajesz na dłużej? nie prawdaż?

— Tak jest — rzekł Michał — pragnę się nieco przybliżyć do dworu i potrzebuję na przyszłość poformować stosunki w stolicy.

— Rzecz arcy potrzebna! nic nad stosunki w życiu, kawalerze! to daje konsyderację, powagę, a złym razie, czego Boże uchowaj, nie raz poratuje. O stosunki proszę się nie troszczyć, porobiemy je łatwo. Przypadłeś mi do serca kochany podczaszycu, od czasu jakem miał przyjemność widzieć cię gospodarującym w Głuszy; radbym ci być użytecznym, proszę mną dysponować. Podczaszyc skłonił się w milczeniu, a generał podał mu rękę do uścisku.

— Ale proszę cię panie jenerale — przerwał Alfier, przypominając sobie tajemniczą karteczkę Włocha, której na stole szukać począł — gdzieś mi się tu bilet pewien zawie-

ruszył, że go znaleźć nie umiem, racz mi z łaski swej powiedzieć, pan co znasz wszystkich bywających u podskarbiego — kto to jest *Cavaliere Fotofero*?

— Cavaliere Fotofero? Fotofero! czy się pan nie mylisz? Cóż to jest? o nikim podobnym nie słyszałem, chyba wczoraj przybył do Warszawy — pokaż mi pan jego kartę, to jakaś omyłka...

Podczaszyc przewrócił co tylko było w pokoju, szukać kazał na ziemi, posłał po ludzi, żeby przetrzęśli i znaleźli zgubioną kartkę, ale tak się gdzieś zawieruszyła, że szukać jej nie było podobna. Jenerał tymczasem utrzymywał że żadnego Fotofera nie było w Warszawie i być nie mogło, bo by o nim wiedzieć musiał.

— Zresztą — dodał — spytam dziś księcia podskarbiego, lub lepiej często od niego znającego gości kapitana Kukumusa, powiedzą mi co to za intruz — ale wątpię, żeby i mnie się kto tak przemknął niespostrzeżony.

— Uderzyło mnie dziwaczne nazwisko — przerwał Michał, nie nalegając — chciałem wiedzieć co to za figura.

— Dowiemy się o tem, ale cóż pan robisz dzisiaj? — zapytał mentor — potrzeba oddać wizyty, a wieczorem koniecznie być w zamku.

— Tak właśnie i ja sobie zamierzam.

— Gdzież obiad?

— Zapewne u siebie zjemy?

— A pfe! któż to widział — mamy kilka domów otwartych do wyboru — i najlepsze towarzystwa — jeść samemu z sobą w kącie nie godzi się. Ja pana zabieram i nie ruszam się ztąd, póki się nie ubierzesz — bez ceremonji — odpocznę tu sobie trochę.

Kończył te słowa, gdy Labe Poinot, który podczaszynę odprowadziwszy do rogattek tylko, powrócił — wsunął się do pokoju, odwiedzić swego wychowańca, i rozpytać nieco o dalszych jego obrotach. Nie pilnował bardzo natrętnie podczaszyca, któremu zostawił aż do zbytku swobody, ale miał sobie za obowiązek, raz w dzień przynajmniej się z nim zobaczyć. Resztę dnia Labe spędzał w towarzystwie swoich współziomków, u Piatolego, przez którego chciał się wkręcić na jakąś posadę, na odwiedzinach i intrygach, wiodących do tego upragnionego celu dostania się na dwór królewski. Najwięcej jednak pokładał nadziei na podczaszyca, który mu serdecznie sprzyjał, na Piatolim sekretarzu króla i Ryxie zdawna i poufale znajomym, obiecującym mu jedną z sekretarji lub lektorjaj przy Stanisławie Augustie, byleby przez jaką nominacją miejsce zawakowało.

Jenerał i Labe spojrzeli na siebie z ukosa i od razu się pojęli, tak, że gdy ich zapoznawał sobie wzajemnie podczaszyc, z niewypowiedzianą uprzejmością przysiedli się do ożywionej rozmowy. Labe upatrywał już sobie nowego protektora w panu jenerale, a stary dworak przeważając, że to mentor podczaszyca co by mu mógł przeszkadzać, usiłował wkraść się w jego przyjaźń i zaufanie.

Scena była dość komiczna, gdy oba obsypywali się grzecznościami, które leciały gradem jak karnawałowe rzymskie cukierki; — opamiętali się dopiero, gdy postrzegli że wspólnie sobie potrzebni być mogą i pochowali do kieszeni komplementa, pomiarkowawszy, że nie koniecznie warto je było ekspensować.

Labe zasiadł poufalej rozpytując podczaszyca.

Jenerał wglębił się w kanapę rozpowiadając coś o swej u króla wziętości.

Oba się już doskonale na sobie poznali.

— Słyszałem — rzekł Poinot po chwili — o nocnej pańskiej hulance, kochany podczaszyca, ale ostrożnie z tem, panie Alfierze! ostrożnie — zaklinam cię. Twoja młodość wystawia cię na ustawne szwanki, dobrze jest jej używać, ale nie szafując...

— Bądź pan spokojny — śmiejąc się odpowiedział Alfier — będę jej używał oszczędnie, skąpo, z jutrem!

— To i moja rada — pochwycił Baucher — chociaż prawdę powiedziawszy — dorzucił zaraz dowcipując — młodość jest to kałamarz, co się z niego nie wypisze to wyschnie.

Labe się uśmiechnął.

— Ale go wylewać nie potrzeba! — dorzucił.

— Wartoby nawet zatykać jak najszczelniej, gdyby to co pomogło — rozśmiał się pan jenerał.

— A co panowie dziś myślą? — zapytał Poinot, łącząc ich obu nie bez intencji.

— Kilka niezbędnych wizyt oddamy zaraz, a wieczorem jesteśmy w zamku.

— Doskonale — przyklasnął nauczyciel — zamku nigdy opuszczać nie potrzeba, *voilà l'essentiel — le roi avant tout.*

— Będziemy pilnowali podczaszyca, żeby o tem nie zapominał — rzekł jenerał.

Po chwili przerywanej tak rozmowy, którą podczaszyc wiódł z drugiego pokoju odpowiadając przy ubieraniu, — wyszedł nareszcie wystrojony, wyświeżony i istotnie tak piękny mimo dosyć śmiesznego stroju owych czasów, że jenerał aż westchnął z zazdrości spojrzawszy na niego.

— Ha! — rzekł — aż złość porywa spojrzawszy na tę młodość, co to za skarb nieopłacony, cobym to ja dał, żeby mi się choć na roczek wróciła.

— Ja myślę — przerwał wstając Labe — że nie wiele jej panu jenerałowi wyszło, dużo się także wypisać musiało.

Baucher westchnął z głębi serca i żołądka.

— Siak, czy tak — dodał — a szkoda mi jej, oj! szkoda! Mam odesłać moją karetę, czy prosić do niej pana podczaszyca?

— Moje konie gotowe, siadajmy jenerale — do zobaczenia Labe.

— Polecam się jego pamięci! grzecznie kłaniając się rzekł Baucher.

— To do mnie właściwiej należy, schylając się do pół, szybko przerwał Poinot — mam honor polecić się i pamięci protekcji waszej ekscelencji.

Kilka razy jeszcze posunęli nogami, skłonili głowy upudrowane, uśmiechnęli się wdzięcznie, i jenerał spuścił się po wschodach, rad że nareszcie Francuza się pozbył.

VII

Wyjechali tedy rozrzucić bilety i zapisywać się u drzwi domów, które im odwiedzić wypadało. Jenerał towarzyszył chętnie, a podczaszyc nienasycony jeszcze Warszawą, ciekawemi oczyma spoglądał na ożywiony obraz ulic pełnych pospółstwa, wojska, panów, szlachty, żydowstwa i największej ludu mieszaniny. Karetą ich mijała mnóstwo powozów z których wyglądały pięknie strojne panie lub upudrowani kawalerowie z kapeluszymi pod pachą; rzadki polonus ukazywał się z za szkieł, gdyż to co karetami jeździło, już strój dawny porzuciło — *Regis ad exemplum*. Pieszko tylko bokami szły delje i kontusze, a ostatek demeszek stukał po bruku.

Przyznać potrzeba, że Warszawa przedstawiała się w tej chwili z fizioznomją wielce ożywioną i ruchawą; znać było w niej jakby przygotowanie się wewnętrzne do ważnego wypadku, do wielkiego dzieła. Napływ osób z prowincji był ogromny, główne domy magnatów nieustannym gościom stały otworem; rozprawiano głośno o zarządzeniu nieporządkowi domowemu, i mówiono o ofiarach koniecznych jakich byt przyszły wymagał. Stronnictwo, które się trzymało, nie bez pewnego pozoru słuszności — wszystkiego co dawne, jakby obawiając by za wyjęciem jednej cegiełki sklepienia cały gmach nie runął — powiększyli ludzie bez przekonania, ujęci lub słabi.

Z jednej strony były najlepsze chęci, ale na idealnych oparte pomysłach, z drugiej, upór przy starem, więcej dowodzący bojaźni niż rozumu. Chwila to była, gdy nie w Polsce tylko, ale po całym świecie zawracać poczęły głowy utopje, a ludzie szukali to w źle pojętym stanie natury, to w źle zrozumianej historii starożytnej nowych form dla chorego społeczeństwa. Toż samo działo się u nas: wrzały poczciwe serca i głowy, drżeli bojaźliwsi, a garstka samolubów przerzucając się na stronę, w której upatrywała siłę i nadzieję zysku, zwijała się dołem. Już przebąkiwać zaczynało przed czteroletnim sejmem, który się niebawem miał rozpocząć, o tem co miało być jego zadaniem! Odważnie mówiono co powinien był spełnić, i król nie widział sposobu oparcia się żądaniom powszechnym, choć on w żaden ratunek i przyszłość nie wierzył. Omamieni wielkimi obietnicami stronnicy aljansu z królem pruskim, całą pokładali nadzieję na przyrzeczeniach berlińskiego dworu, które Lucchesini rozsiewał. Ten stan umysłów przedsejmowy, to dążenie do reform jakich tylko dokonać jeszcze było można, wszędzie już jawnie się objawiało, nawet w wyborze posłów. Śmieli się tak zwani *pieczeniarze*, ale żółto i nie bez strachu, przewidując może, iż o nie jedną przeszłość sejm się ten upomni, o czem już coraz gęściej przebąkiwano. Tymczasem, drudzy wiarą i męstwem zbrojni, brali się już do dzieła, które piękną przynajmniej kartę w dziejach zostawić miało.

Warszawa, jako serce kraju, była w tej chwili najsilniej wszystkimi myślami, rządami i nadziejami ogółu; z tego ogniska rozchodziły się elektryczne prądy po całym kraju, rozgrzewając umysły, krzepiąc upadłych na duchu. Pragnienie reformy wszakże, jak wszystko co silnie wzrasta, posuwało się w początku aż do przesady; chciano zburzyć co tylko było, z wielkiego żalu, że samo się obronić i ostać nie mogło; wygładano wielkich rzeczy od filozoficznych pomysłów, i przez przywiązanie do kraju zapominano o wszystkim co jego odwieczną narodowość stanowiło. Jedni zwracali się z reformą do obyczajów, drudzy do sukni, inni do praw, wojskowości, duchowieństwa, do mieszczan i ludu. Powtarzam, było to rozpaczliwe wynajdowanie środków, ale za winę mu pocztytywać nie można, że się na wszystko rzuciło, bo uczucie więcej nim kierowało niżeli zimna rozważa. Rozumowano potem na tle uczucia tego, ale nie samoistnie — niestety! i zwyczajem naszym zwracano się po wzory wszędzie, omijając dawne własne, niechcąc reformy umiarkowanej, a w radykalnej upatrując jedyne lekarstwo.

Jenerał patrzył na to oczyma dworu, to jest bez wiary w środki, z obojętnością człowieka, który używa dni swoich ostatka; nie rachując nic na przyszłość, dowcipnie drwił sobie z tych usiłowań, a sam przyznawał się chętnie do nazwiska pieczeniara. Podczaszyca mało to wszystko obchodziło, gdyż nie miał jeszcze pojęcia ani stanu kraju, ani obowiązków swoich, ani gotującego się jutra — gniewało go tylko co groziło zamieszaniem spokoju i przzerwaniem pasma dni jasných, które sobie obiecywał.

Nie uszło jego oka gorączkowe całej ludności Warszawy zaprzątnienie, ruch umysłów, przygotowania ku czemuś, czego się bardziej obawiał niż pożądał, przedewszystkiem myśląc o sobie.

Jenerał wyjechawszy na ulicę zasępił się spotkawszy kilka twarzy, które do stronnicstwa Lucchesiniego należąc, zawsze na nim przykre czyniły wrażenie; minął Małachowskiego, Zamojskiego, Ignacego Potockiego, Kołłątaja i kilku innych grzecznym pozdrawiając ukłonem, ale z widocznym niesmakiem.

— Poszaleli ci ludzie odezwał się, gryźć tak pocziwego króla! Jużci on lepiej wie co dla kraju zbawienniejsze, ale szał ich opanował, zbrzydła im spokojność, nawarzą nam piwa! Księżę podskarbi w biały dzień już się niemal na ulicę pokazać nie może, takie na niego *larum*. Podczaszycc potakując ruszył tylko ramionami.

— Przyjdą narady, będziemy mieli niebrzydką robotę, dodał Baucher, to jawna i oczewista że się na coś ważnego kroić, ale lepiej o tem nie myśleć. Gdy tak rozmawiają i rzucają oczyma, podczaszycc który był szybą wyrzwał, dostrzegł w tej chwili wczorajszą twarz szatańską przelatującą w karecie która ich mijała tak prędko, że ledwie mógł pochwycić tę ohydną postać. Ów nieznamy z uśmiechem, jakby przypominając się, oddał mu grzeczny ukłon.

— Kto to jest? spytał żywo jenerała — ale jenerał właśnie był obrócony w drugą stronę, nic nie widział, i wychyliwszy się za wskazanym powozem, nikogo już zobaczyć nie mógł.

To spotkanie znowu popsulo humor panu Michałowi, podrażnionemu widocznie. W tym stanie zaciekawienia i niecierpliwości, poczęli przelatywać od domu do domu krótkie oddając wizyty, niepotrzebując najczęściej wysiadać nawet, gdyż ich nie przyjmowano. Rad temu był podczaszycc, bo się lękał wydać z wrażeniem którego doznał i pozbyć się nie mógł. Chociaż księcia podskarbiego także w domu nie było, jenerał wysiadł na chwilę do kapitana Kukumusa, dowiedzieć się ktoby był ów Cavaliere Fotofero, ale nic tam nie zyskał, gdyż o żadnym tego imienia gościu wczorajszym kapitan nie wiedział, a w tłumie ciężko też było każdego spamiętać, zwłaszcza że na hulanki niespodzianie cisnęła się nieraz najrozmaitsza ludzi mięszanina i ścisłego w niej wyboru nie robiono.

Nadeszła pora obiadowa, a jenerał obiecał był swego protegowanego koniecznie gdzieś zawieźć, żeby sami nie jedli; zabrał go z sobą do księżnej wojewodzicowej mściławskiej, matki Kazimierza Nestora młodego jenerała artylerji, przed kilką laty z podróży do Włoch, Francji, Anglii i Niemiec przybyłego, — powszechnie naówczas zwanej imieniem uszczypliwem *matki ojczyzny*.

Księżna wojewodzicowa, która chwilowo teraz przebywała w Warszawie, bo zwyczajnie od czasu jak ją z łask królewskich wypchnęły okoliczności, mieszkała w Kodniu, miała

przecie dom na stopie wcale pańskiej chociaż w utrzymaniu jego przebijała się przymuszona oszczędność i przykre interesa.

Pani ta już nie pierwszej młodości, wielce czynnego umysłu, władająca i gospodarująca sama w wielkich swych dobrach na Podlasiu i w Wielkiej-Polsce, prawująca się po wszystkich trybunałach, w długach po uszy — przyjeżdżała do Warszawy ilekroć ją do tego własne lub protegowanych interesa zmuszały. Miała ona jeszcze wstęp do króla, który się jej nawet dosyć obawiał, bo mu nie dawała pokoju nieustannymi prośbami, a jeśli im zadość nie czynił, gromiła dawnego kochanka czasem nawet dość niegrzecznie. Mało podobno było kobiet w owych czasach, któreby obszerniejszą wiodąc korespondencją z dziesięcią najmniej adwokatami, z mnóstwem adherentów w Warszawie i na prowincjach, z hetmanem i całą niemal komisją wojskową, z przewodzcami sejmików w Wielkiej-Polsce, na Ukrainie, w Litwie — na więcej zatrudnień czas znalazły. Księżna wojewodzicowa była niesłychanie czynna. Wiodła procesa, pożyczala pieniądze, wdzierzała i zastawiała dobra, forytowała posłów, trzęsła trybunałami, rządziła synem i artylerją, których oficerów nominowała, wodziła za nos całą komisją wojskową, a po części brata hetmana, trochę króla, a prócz tego bawiła się w Kodniu wesoło, nie zapomniała o sobie, i mówiono (czego to ludzie nie powiedzą!) że strażnik koronny w wielkich był u niej łaskach, w niemniejszych przynajmniej od jenerała Kurdwanowskiego. Nie można powiedzieć, żeby ją bardzo lubiono w Warszawie (świadkiem on wiersz poczynający się — *przedwieczne n...*) ale obawiano się jej jako przeciwniczki, gdyż tysiące miała sposobów prześladowania swoich nieprzyjaciół, a raz kogo znienawidziwszy, nie przebaczała mu nigdy. Księżna wojewodzicowa, dobrze już podstarzała teraz i trądem okryta, starała się jeszcze być piękną! i na twarzy jej zostały ślady dawnego wdzięku starannie pielęgnowanego; nabrała była tuszy nieco, codzien przybywały jej po jednym daremnie wyciągane zmarszczki; troski, praca, rodzaj życia który wiodła, nauczyły ją też wcześniej zasępić czoło. Pomimo to wszystko, wieczorem przy świecach, jeszcze z daleka wyglądała nieszpętnie, i choć syn podrośł, nie wyrzekła się udawania młodości.

Niezmordowana nawet w zawodzie politycznym, co może było powodem danego jej przydomku, skoro do Warszawy przybywała, otwierała dom dla dawnych znajomych, chciwie pragnąc i nowin i udziału w intrygach. Cisnęli się tam wszyscy, co jeszcze lepsze czasy wojewodzicowej pamiętali, i sądzili, że z dawnych łask coś przy niej zostać musiało, lub wierzyli w partję hetmańską i jej przyszłość.

Jenerał z podczasycem weszli do dość pięknie umeblowanych pokojów pałacu Sapieżyńskiego, w których wszakże znać było, że w nim nie mieszkało ciągle. Meble bogate ale stare i nieco spłowiałe, franki trochę zblakłe, brak zresztą tych drobnostek, które kobietę otaczając gdzie dłużej zamieszka, dawały czuć opuszczenie gmachu, który z kolei, to pożyczano krewnym, to wynajmowano obcym, albo na swój zatrzymywano użytek, stale w nim nie przebywając. Wojewodzicowa przyjęła ich z grzeczym uśmiechem, poglądając ciekawemi oczyma na młodego chłopaka i nadzwyczajnymi obsypując go komplementami.

Alfier począł od wymówek, że go jenerał wciągnął na obiad nieprezentowanego, na swego towarzysza całą winę zrzucając, ale się mu nawet uniewinniać nie dano i księżna zrobiła mu miejsce obok siebie przy kanapie, udając czy szczerze radując się z jego przybycia. Podczaszyc rzucił okiem ciekawem na księżnę i pomimo że strój jej w miarę innych dam był trochę zaniedbany, twarz zwiędła i znużona, postrzegł na niej ślady wielkiej piękności, po tonie widząc w niej kobietę prawdziwie wielkiego świata. Gospodyni z nieporównaną zręcznością naprowadziła natychmiast rozmowę, badając młodego człowieka, pochlebając mu umiejętnie, nieznacznie, i zabawiając go ploteczkami, a wśród tego dysponując coś sekretarzom wchodzącym co chwila, posyłając ludzi z biletami na wszystkie strony, odzywając się w materjach coraz nowych do jenerała. Za tym żywym, bystrym i przytomnym umysłem ledwo zdążyć było można, tak się przerzucał łatwo z jednego przedmiotu na drugi.

Towarzystwo księżnej składali dnia tego sami domowi. Jenerał Kurdwanowski ostatni jej wielbiciel, wielki myśliwiec i koniarz; strażnik koronny Mierzejewski trochę dawniejszy faworyt; pułkownik W... Niemiec, syna niegdyś towarzysza i nauczyciela, dwie panny rezydentki i coś nieznajomych figur. Księcia Nestora nie było u matki.

Dwaj panowie, strażnik i generał, zdawali się na stopie wielkiej poufałości w domu. Kurdwanowski zwłaszcza, słuszny, barczysty, piękny mężczyzna, ale milczący, ponury i zamyślony. Strażnik koronny mniejszy od niego, starszy znacznie, trochę już otyły, ale jeszcze przystojny człowiek, szybko mówił, szeplenił, a grał lub grać sobie życzył rolę wielkiego pana! Ci dwaj panowie z generałem brygady Wielkopolskiej L...m składali trzy ręce księżnej; Kurdwanowski był ręką Kodeńską i domową, strażnik zajmował się ogółem spraw i interesów, generał brygady dobrami, sprawami i długami w Wielkiej-Polsce.

Oznajmiono do stołu, i wszyscy przeszli do sali jadalnej, w której zastawiony stół maleńkim się wydawał. Nakryty był pięknymi i ciężkimi srebrami z herbami Sapiehów, wspaniale przybrany, a liczba gości pomnożyła się kilku domownikami, którzy tu oczekiwali na księżnę wojewodzicową.

Nie wiem — zkąd myśl przyszła wymyślnemu co do jadła generałowi zaprowadzić tu podczaszyca, a bardziej jeszcze samemu na objad się wprosić, gdyż kuchnia wcale była nieosobliwsza, a potrawy choć na pozór wykwiłtne, nie celowały przyprawą i smakiem. Winko podano węgierskie, cieniutkie, kwaskowate, — księżna wcale się o to troszczyć nie zdawała, nie wiedząc czy jadła, i co jadła, bo jej to było zupełnie obojętne. Więcej daleko zajmowała ją rozmowa z podczaszycem, do którego się wdzięczyła i uśmiechała, to poprawując zaniedbanego stroju, to okiem rzucając niespokojnem w naprzeciw wiszące zwierciadło. Generał spoglądał na te manewra starej zalotnicy nie bez wewnętrznego szyderskiego śmiechu, Mierzejewski z ukosa, Kurdwanowski z widocznym jakimś nieukontentowaniem, bo co chwila ruszał ramionami i spluwał.

Alfier był tylko grzecznym, ale młody polityk, często więcej niż chciał powiedział i puścił się za daleko. Panny rezydentki zerkały nań pół z uśmiechami wielce znaczącymi, udając że nic nie widzą.

Już byli tak do pieczystego doszli rozmawiając o królu, o dworze i o paniach Warszawskich, na których niezmiernie je chwając, pocziwej nitki nie zostawiła wojewodzicowa, gdy hałas się zrobił w sieni, drzwi się otwarły i bardzo przystojny młody mężczyzna, w wytwornym stroju francuzkim, wbiegł, wiodąc za sobą drugiego podobnie przystrojonego po wojskowemu młodego chłopaka oryginalnej fizjonomji.

— To książę Kazimierz-Nestor, generał artylerji, szepnął Baucher, kolega mój ze szlify, potrzeba się mu prezentować, co się zowie tęgi chłopiec...

Jakby niezważając na całe towarzystwo matki, książę przybiegł prosto do niej, wiodąc za sobą oficera.

— Złapałem tu niespodzianie mego kochanego znajomego z zagranicy, pana Zajączka, rzekł zimno — i przyprowadzam waszej książęcej Mości matce dobrodziejce, bo się pragnął jej submittować i podziękować za szlifę; upewniłem go, że choć w objad wpadniemy, za złe nam tego w. ks. Mość dobrodziejka nie weźmiesz...

Księżna nie wstając nawet kiwnęła głową panu Zajączkowi.

— Jak się masz kapitanie? rzekła od niechcenia, i szepnęła synowi coś o Ordyńskim, gdyż książę podszedł ku niemu zaraz i zaprezentowany przez matkę, uprzejmie z nim zrobił znajomość. To go jednak zmięszało trochę, pokwaśniał spojrzawszy na Ordyńskiego: podano krzesła, rozmowa się na chwilę przerwała. Pan Zajączek w milczeniu swobodnie spoglądał na otaczających, usadowiwszy się za księciem na rogu prostego stołka, który mu lokaj podsunął.

— Pan podczaszyc będzie dziś zapewne w zamku? spytał książę generał obojętnie.

— Właśnie się tam wybieram.

— Będzie zebranie wielkie, król przyjmuje jakiegoś przejeżdżającego Anglika, sekretarza podobno ambasady w Petersburgu i chce świetnie przed nim wystąpić; zaproszono wiele osób, ale się nie zabawim na tej paradzie.

— Już to pozwól powiedzieć mój Kaziu, przerwała księżna z minką pogardliwą prawie, że teraz wasz zamek ani w dnie galowe ani dnia powszedniego nie zabawny — wielka to różnica od lat trochę dawniejszych, kiedyś jeszcze w Warszawie mieszkała; wówczas to było całkiem co innego.

Książę się uśmiechnął i całując matkę w rękę rzekł cicho:

— Trochę i my sami temu winni mościa księżno.

— A to jak?

— Bo się teraz bawić nie mamy ochoty, to też i nie bawimy wcale... Księżna pani zbyt się obciążasz pracą, my zaś młodzi znajdujemy, nieprawdaż podczaszycu? że Warszawa dość wesoła i żywa?

Nim się podczaszyc zebrał na odpowiedź, księżna mu przerwała:

— A któż temu winien mój drogi Kaziu, jeśli nie ty? wszakże muszę dla ciebie gospodarzyć i troskać się, bo sam się zająć interesami nie chcesz i nie umiesz. Mnie to i panu strażnikowi, co tak łaskaw że nam pomaga, winien będziesz, jeśli ci kiedyś zdam majątek i interesa uregulowane, ale to mi życie zabiera.

— A! na cóż te ofiary! odezwał się generał wesoło — i bez tego wybornie by nam wystarczyło, a wołałbym widzieć żebyś się wasza księżęca mość bawiła wesoło, choćbym tam kiedyś miał trochę mniej mieć!

— Utrzymujcie sobie kiedy chcecie, zwracając się do pierwszego przedmiotu dodała księżna, utrzymujcie że teraz lepiej i weselej, ja tego nie powiem, wszyscy jesteśmy jak na przyczepku.

— Księżna pani ma słuszność — rzekł pan Zajączek.

— A ja się na to nie godzę, dodał książę generał — wszystko doskonale, gdyby jeszcze było lepsze trochę polowanie pod Warszawą, to by tylko i żyć, nie prawda Kurdwanowski?

— Toż samo pisałeś mi Kaziu z Turynu, potem z Paryża, w ostatku ze Strassburga... wrzuciła matka.

— A! Paryż, wzdychając — rzekł książę — Paryż to raj ziemski, z tem się nic nie porównywa.

— Czemu będzie Warszawa mości książę, spytał szepleniąc pieszczotliwie strażnik Mierzejewski.

— Jest to tylko sen o rajul i książę westchnął znowu głęboko.

— Doprawdy nie wiem, przerwał generał Baucher, co tam ma lepszego wasz Paryż, mości książę... Już ciż pięknych dam i nam nie braknie, polerowanego towarzystwa także, wielkich domów, dworu wspaniałego, zabaw a nawet teraz i teatr mamy...

Książę generał rozśmiał się na całe gardło.

— Chce mi się z szambelanem Węgierskim powtórzyć o naszym teatrze — *aż ku śnieżnym Tatrom* — ale cóż to za teatr przy paryzkim! parodja tylko! Damom naszym nie uwłaczam, chociaż...

— Mości książę ostrożnie, za damy gotowiliśmy się wszyscy pojedyńkować, nie życzę się narażać...

— No, to lepiej o tem nie mówmy...

— Drażliwa materja zwłaszcza przy księżnej pani, która jest świetną gwiazdą naszego towarzystwa, pospieszył dodać Baucher z francuzką grzecznością.

— Oj! gwiazda to zaćmiona, śmiejąc się zawołała wojewodzicowa z poglądem w zwierciadło, niestety! potwierdzające ten wykrzyknik, — nie żartuj generale — ot lepiej, wstańmy od stołu, kawę ponieśli...

To mówiąc szepnęła coś na przędcę w ucho strażnikowi i dwóm sekretarzom przywołanym skinieniem.

Wszyscy zatem przeszli do sali bawialnej, gdzie rozmawiając, cały stos listów przygotowanych podpisywała wojewodzicowa, a Kazimierz-Nestor zbliżył się tymczasem do podczaszycy, którego fizjonomia pełna młodzieńczego wdzięku, pociągnęła go nareszcie ku sobie. Poczęli rozmowę o przedmiotach obojętnych — książę jakby próbując nowopoznanego, z różnych go stron zaczepiał, uczeń Labe Poinot wszakże zdał ten rodzaj egzaminu na przędcę, niestraciwszy śmiałości, w sposób wcale zadowolniający. Na końcu spytał go generał czy był za granicą, a otrzymawszy odpowiedź, że się dopiero w podróż wybierać myśli, polecił mu Paryż jako najdoskonalszą szkołę młodzieży. Westchnął jeszcze razy parę i odszedł do Kurdwanowskiego.

Księżna tymczasem trzy na raz wiodąc rozmowy, podpisała instrukcją plenipotentowi, dwa inwentarze dzierżawcom, trzy listy do adwokatów, kilka instancjonalnych, i wśród tego zajęcia, nie spuściła z oka nikogo z towarzystwa.

— Bogdajby był król przy niej pozostał — rzekł wychodząc generał do podczaszycy, to kobieta z głową! tamta stęka tylko i wszystkiego się obawia.

— Zapominasz panie generale, że w głowie gdyby była najlepsza kochać się trudno, śmiejąc się odparł podczaszyc.

— Ba! i to racja! mruknął stary — jenerałowa nie ma tęgiej głowy to prawda — ale — ...

VIII

Przebrani na nowo, jenerał i pilnujący się go podczaszyc, któremu na rękę był mentor tak dogodny, udali się wieczorem do zamku, gdzie już zastali wielki natłok karet, wszędzie jakieś przygotowania nadzwyczajne, których wystawność uderzała tylko oczy przywykłe, a dla cudzoziemca ująć mogła za chleb powszedni. Król dnia tego przyjmował na wielkich pokojach, a świeżo za panowania jego przyozdobiony zamek i odnowiony, jaśniał wielkim przepychem i wytwornym smakiem. Sale zawieszono były utworami pędzla malarzy dawnych, wybornymi kopjami uczniów Bacciarellego i kompozycjami tego artysty, który tak dobitnie dziełami swemi epokę Stanisławowską przedstawić potrafił.

We wszystkim co malował ulubieniec Poniatowskiego i nadworny królewski intendent wydziału sztuk pięknych, przeglądał czas ów, jego charakter, a przez pojęcie piękna przebijają się wszystkie wieki pojęcia, cała niemal filozofja jego. O! sztuka często sama o tem niewiedząc, jest wielkim historycznym pamiętnikiem ducha wieków — jak w malarzach dworu Ludwika XIV. cały się wiek jego przedstawia, tak w historii Salomona, w portretach nawet Bacciarellego, epokę jego czytamy.

W obiorze przedmiotów, w ustawieniu postaci, w nadanych im rysach, w wydaniu ich charakteru, nawet w nienaśladowanej miękkości i mglistości pędzla Bacciarellego, pisze się historia ostatku lat XVIII. w., lepiej niż w wielu pamiętnikach.

Jego obrazy mają ten urok, ten wdzięk przesadny, i trochę manjerowany, tę wytworność, tę harmonjną bez śmiałości w kolorycie, i myśl sentymentalizmem osłaniającą lubieżność, która panowała w ówczesnym społeczeństwie i była jego cechą.

Brak im siły, brak barwy żywej, brak namiętniejszego ruchu, ognistego że tak rzekę wcielenia. Znać, że to malowali ludzie, którym ręka stargana rozpustą drżała. Zdaje się, że dmuchnąwszy silniej znikną ci z przed oczów te śliczne widma, uśmiechnione, wystrojone, ale w których krwi mało, a odwagi nic. Nie weźmiesz pewnie za bohaterów tych lalek i paniątek ukoronowanych. Nawet gdy Bolesławów, gdy Batorych chce pojąć i wskrzesić pędzel artysty, daje im więcej elegancji niż siły, wdzięku niż ognia, a że z niemi nie sympatyzuje, bo dlań heroizm barbarzyństwem trąci, woli Estherę i Ahaswerusa, woli Salomona i Sabę, sceny mitologiczne w którychby się pan i jego ulubieniec umieścić mogli, niżeli boje i walki, ofiary i męczeństwa. Salomon najbardziej przypada mu do smaku, i pędzel nawet staje się pochlebcą w jego rękach, lub uwiecznieniem miłostek, które wstyd utaić był powinien.

W wielkich salach zamku natłok był i ścisk panów, ale król jeszcze się nie ukazał. — Mundury wojsk, stroje dawne polskie, połyskiwały obok barw cudzoziemskich, fraków, dokoracji i peruczek. Fryzury i francuzkie mody przeważały nawet w tym tłumie różnobarwnym, pełnym szat migocących jak gołębie szyje, papuzich, mienionych i mdłych jak ludzie co je na siebie wdziewali. Pierścienie, łańcuchy, sprzączki, brylanty, błyskały na męzkich ubraniach jakby w kobiecym stroju, brakło tylko piór i gazy, dla dopełnienia maskarady. Podczaszyc, który dopiero raz drugi czy trzeci był na królewskim dworze, a nigdy jeszcze tak świetnego przyjęcia nie był świadkiem, zdumiony i zmieszany trochę, nie wiedział co począć z sobą, bał się posunąć naprzód, a nie znając tylko kilka osób i mało wiedząc obyczaju dworskiego, stał w miejscu jak wryty. Szczęściem troskliwy jenerał Baucher, który dnia tego nie był na służbie, nie spuszczał z oka swego pupila.

Czekając na Najjaśniejszego, przytomni rozdzielili się na kilka grup i rozmawiali po cichu — główne grono otoczyło kołem wielkiego posła, który siedząc przyjmował chcących mu się przedstawić, i miał minę całkiem królewską.

Jenerałowie Komarzewski, Kicki, Garczyński, byli już nieco znajomi podczaszycowi, równie jak ci co w Głuszy z królem gościli — ale większa daleko liczba została mu obcą, tak z dworaków jak z przybyłych do Warszawy senatorów i znakomitszej szlachty. Jenerał z wielką uprzejmością sam się tu ofiarował za tłumacza i przewodnika, wymieniając mu z kolei wielkie imiona i imiona sławne, i te które podówczas wielkość sobie roily, a dziś leżą w zapomnieniu. Najciekawszym może był poczet literatów królewskich, który się tu i ówdzie zmieszał z pospolitym tłumem, wyróżniając od niego głośniejszą wymową

i budzącymi uśmiechy dowcipkami. Jedni z nich mieli na sobie suknie duchowne, drudzy francuzkie fraki, żaden podobno w stroju starym polskim nie chodził — to jedno bardzo wiele mówiło!

— To Jegomość ksiądz biskup kujawski, mówił pocichu wskazując osoby jenerał, widzisz go rozmawiającego w kątku z panem kasztelanem Ł... O kasztelanie wiele by mówić można, ma biedak nieprzyjaciół, duchowni go nie lubią, zagorzalcy nań plują, ale to dobre czelczyisko... Ludzie go pomawiają, że sobie wykroił nieszpętną fortunę z rewerendy nieboszczyka prymasa Podoskiego, że wyfrymarczył jakimś procesem drugie tyle od pewnej jejmości, że spekulował na założeniu łazienek w Warszawie... ale czego to ludzie fałszywie sobie rzeczy tłumacząc, nie splotą!

To pewna że je paradnie, bawić się lubi, wesół i głowa nie dla proporcji: da Bóg doczekać sejm, zobaczymy jak będzie gardłować, bo za katy wymowny!! Ten pan co rozmawia więcej oczami niż usty z wojskowym, to pan szambelan Łojko, pierwszy u nas statysta, człek ogromnie uczony, który pewnie więcej umie i wie od wielu innych co za sawantów tu uchodzą i do pióra się porywają, ale taki leń, że nigdy nic nie robi, choć się zawsze zbiera. Czasem słówko bąknie, porwą i użyją je drudzy... Czyta, myśli, notuje, gawędzi a zresztą szambelanuje.

— Ależ i to ciekawy człowiek, ten wojskowy któremu w tej chwili szambelan Łojko coś od niechcienia mówi, bo to pan Józef Bielawski, adjutant buławy Litewskiej, co pierwszy pono u nas począł dla teatru pisać. Węgierski bestja zajeździł go, że musiał schować pióro do kieszeni od dawna, wydawszy *Dziwaka*. Ja tam się na tem nie znam, ale mówią że szkoda.

— A gdzież Węgierski? spytał podczaszyc, który już zasłyszał o dowcipnym satyryku epigramatyście tak ostro chłostającym współczesnych, że się go wszyscy jak ognia obawiali.

— Ten słuszny ot tam stojący mężczyzna, pięknej pociągłej twarzy, bystrego oka, na pozór taki poważny i serjo, to właśnie pan starościc korytnicki; nikt by patrząc na niego nie powiedział że to taka kuta sztuka... Mówiąc z nim zdaje się choć do rany przyłóż, łagodny jak baranek, słodki i miluchny, ale drasnąc go, lub popaść mu na język! Drżą przed nim wszyscy, bo nikogo nie poszanuje, ale *vir integerrimus* — tylko to bieda, że sam też hulaka niepomiarkowany i karciarz jakich mało. Król mu za dowcip wiele przebacza. Że hula nic dziwnego, czemu nie użyć młodości, ale zbyt zdrowia nadszastał, a pieniędzmi sypie... kieszeń dziurawa... teraz się już nim nie pocieszym długo, wygrał słyżę 20,000 dukatów i nie żartem plunąwszy nam w oczy, wybiera się do Paryża przestastać ten skarbić... Szczęśliwej drogi! nie pohula długo, kieszeń dziurawa, kieszeń dziurawa!

Jenerał nie lubił bardzo dziurawych kieszeni, raz że sam doświadczał jak to rzecz przykra, powtóre, że z nich do swojej nic przesunąć nie mógł.

— Ten ponuro stojący z boku, dodał — to kasztelanic wiski, szambelan J. K. Mości, głucho-niemy; król co tak litościwe ma serce, opiekuje się tym biedakiem jak swoim dzieckiem, inaczej nie wiem co by Wilczewski na świecie począł! Dalej ten słusznej postawy, wyprostowany, wysokiego czoła, dumnego spojrzenia, to poeta nasz Trembecki; znać w nim zaraz dworaka co miał zaszczyt bywać na pokojach Ludwika XV. harda dusza, serce ogniste, wymowa rzadka, kortezan a fantastyk, co się z sobą nie godzi, lepszych od siebie ma za baj-bardzo. Śpiewa ody godne Pindara jak utrzymują znawcy, do króla bardzo przywiązany, kobietki lubi i byle co, za piękne oczki do szpady się porwie... to w nim chwale, że jak Węgierski nie mięsza się do klubistów i nowatorów. — Księżda biskupa Naruszewicza pan znasz, a dalej...

Dalej już mówić nie mógł, choć miał kogo jeszcze wyliczać, gdyż król Jegomość wszedł na pokoje zrobił się zamęt i wszyscy razem poczęli się podsuwać ku niemu. Różnica tylko była w sposobie jakim się przybliżali goście zamkowi do króla: jedni prąc się niecierpliwie, drudzy przysuwając ciekawie, inni natrętnie chcąc wpaść w oko, lub nieśmiało, zdaleka pragnąc słówko jakie z ust Najjaśniejszego zachwycić.

Stanisław August chociaż przybrał postawę dni jasnych i wdział na siebie świeży mundur kawalerji narodowej, nie miał oblicza pogody, którego pożyczyć trudno; — uśmiechał się z jakimś przymusem, obłok zasuwiał mu oczy znużone, usta się zaciskały wśród

słów rozpoczętych. Pomimo widocznego wszakże wewnętrznego cierpienia, postawę miał pełną godności, powagi, wspaniałości i dostojeństwa.

Powitał swych gości po królewsku, a dostrzegłszy z rezydentem angielskim panem Haynes i Lucchesinim posłem pruskim, idącego ku sobie baroneta Anglika, który mu miał być przedstawionym, okiem uprzedził jego prezentacją i przywitaniem. Znać wiele mu o to chodziło jak się okaże temu podróżnemu z daleka, co zimne badawcze oko nań rzuciwszy, miał z wrażeniem jakie na nim uczyni odjechać do ojczyzny, a może kiedyś spowiadać się z niego przed Europą. Zdaje się że król go posądził o intencję opisu podróży i obawiał się by w niej pośredniego nie zajął miejsca — to pewna, że przyjął go z zalotnością i cały zwrócił się ku niemu, zaniedbując innych.

Towarzystwo po urzędowym przywitaniu znów rozdzieliło się na grupy: niektórzy usiedli do kart z posłem, który ich zaraz zażądał, inni pousuwali się we wgłębienia okien, a król do przyległego gabinetu rozmawiając uprowadził baronetta i cały niemal wieczór z nim tylko spędził w towarzystwie kilku poufałych osób.

Generał tymczasem korzystając z tego zaprzątnięcia pańskiego, które mu dawało więcej swobody, a na oku mając podczaszycę, robił mu nowe znajomości, zapoznawał go, prezentował, opiekował się nim gorliwie.

Robił wszakże wybór oględny w znajomościach, prowadząc go najprzód do potrzebnych lub miłych, a unikając literatów, o których z góry podczaszycowi powiedział, że to są przyjaźnie dla kieszeni niebezpieczne, a czasami i dla spokoju niedobre.

Wreszcie odbywszy tę jak ją w duchu zwał pańszczyznę, którą z wprawą, bo dziesiąty może raz w życiu spełnił, opuścił na chwilę Michała, zostawując go samemu sobie.

Ale zaledwie się oddalił, Ordyński zmartwił niemal, postrzegłszy w oknie stojącą tę samą tajemniczą postać, która go już dwa razy tak silnie swoją uderzyła fizjognomią, przypominającą mu dziwnie szatana w obrazie św. Michała. Fotofero przyparty do marmuru, zwrócony do podczaszycę, stał z uśmiechem na ustach, w strojnym bardzo ubiorze czarnym, szytym bogato złotem, peruczkę miał maleńką, rękę na szpadzie, czarne pończochy i trzewiki z pięknymi klamrami, pod pachą stosowany kapelusik. Ledwie go ujrzawszy zaczął się nieco podczaszyc nie wiedząc czy mu na poufały ukłon głowy ma odpowiedzieć lub uniknąć powitania, gdyż niewytlómaczony strach go ogarniał — tajemnicza ta figurka podbiegła ku niemu szybko i tuż się przy nim znalazła.

Zdawało się podczaszycowi z wielkiego strachu że poczuł zapach siarki i gorące zbliżenie się płomienia; zbliża był to czysty djabeł, tylko ubrany przyzwoicie i przystrojony jak na królewskie pokoje. Wystawcie sobie oczy okrągłe, czarne, na wierzchu we łbie osadzone, szeroko szydersko rozkrojoną gębę, spiczastą brodę, uszy z kółczykami odstające od głowy i wyniosłe, a na dobitkę na wierzchu peruki dwa loczki zwinięte misternie, istne różki szatana. Zresztą był to zręczny, zwinny, niewielkiego wzrostu mężczyzna, który aż drgał cały, tak nim widać krew miotała wrząca.

Nim podczaszyc pospieszył mu ukłon oddać, począł do niego po włosku.

Zmieszany Ordyński, który próżno usiłował opamiętać się i ze strachu otrząsnąć, za-
belkotał coś po polsku, a nieznamy dokończył komplementu po francuzku.

— Przepraszam — rzekł — że nie mówię po polsku, język to — dodał z uśmiechem — który polerowniejszych myśli terażniejszego wieku wyrazić jeszcze nie jest w stanie; rozumiem go, ale używać nie lubię, czekając aż go ci panowie (wskazał na literatów dworskich) ostatecznie wykształcą; mówmy po francuzku podczaszycu. Pan jak widzę nie przypomina mnie sobie?

— Prawdziwie — odparł zaambarasowany Ordyński — przepraszam bardzo, nie mogę.

— A przecież myśmy od dawna, od dawna znajomi.

— Nie przypominam sobie — powtórzył młody człowiek.

— W istocie mógłbym się urazić — rzekł z uśmiechem nieznamy, zwłaszcza na wczorajsze tak głośne zaparcie się znajomości mojej, ale wolę tego nie brać na serjo. Możeż być, żebyś pan podczaszyc istotnie mnie nie pamiętał?

— Proszę mi darować — zawołał Michał trochę urażony i zniecierpliwiony — ale za kogo pan chcesz uchodzić? Gdzieżeśmy się widzieli, kiedy? Wczoraj u księcia podskarbiego, dzisiaj na ulicy...

— Ale dawniej, daleko dawniej — śmiejąc się dodał tajemniczy cudzoziemiec — wszakże bywałem w Głuszy, bardzo często, bardzo często... niepodobna byś podczaszyc mnie tam nie widywał... przypominam nawet sobie, że w dzieciństwie czuleś pan jakiś wstręt do mnie... mówiąc, żeś podobny do jakiegoś djabła!

Podczaszycowi w głowie się męciło.

— W Głuszy? zapytał drżącym głosem, nie mogąc się pozbyć strachu i wstydząc się razem, a lękając, żeby go kto nie spostrzegł.

— Za młodych dni pańskich, jam tam nieraz przebywał, mam szczęście dobrze jeszcze z Włoch być znajomym pani podczaszynie.

— Wolno mi spytać o nazwisko pańskie?

— Cavaliere Fotofero, do usług.

Nie wiedzieć co było począć z tą osobliwym sposobem przyplątana znajomością; chwilami zdawało się podczaszycowi, że oszaleje, tak żywo ten człowiek przypominał obraz pamiętny w jego młodym życiu i tak dziwna była mowa jego.

— Mogę panu w czym usłużyć? spytał znowu cavaliere, coraz bardziej mięszającego się Ordyńskiego.

— Mnie! bardzo dziękuję panu.

— Chciałbym podczaszycowi być użytecznym jeśli pozwolisz, dodał Włoch, mam tu dość piękne stosunki w stolicy i wiele mogę, choć na pozór nic nie znaczę. Jeśli byś pan w jakimkolwiek razie, pozbywszy się śmiesznego wstrętu i obawy, które widzę w oczach jego, chciał się odezwać do mnie, zawsze mi miło będzie mu służyć. Nieprawdaż, dodał wesoło, że dwór świetny, że Warszawa miłe miasteczko. Widziałeś pan wczoraj Frascatellę — ładne dziewczę, ale nie w moim smaku; a jak wesoło bawim się u księcia podskarbiego! Są i inne domy w których czasami bywam, i gdzie nie mniej ochoczo się bawimy. Z czasem pozwolisz mi podczaszycu porobić z sobą niektóre ciekawe i użyteczne znajomości. Potrzeba używać! życie uchodzi! szkoda je marnować beczynninie!!

Mówił to szybko patrząc mu w oczy, bawiąc się rękojeścią szpadki, to jedną, to drugą nogę wystawując naprzód, jakby sam przed sobą zgrabną chciał się pochwalić postacią.

Podczaszyc milczał zbladły.

— Nadewszystko kochany podczaszycu, dodał podnosząc głowę z uśmiechem — trzeba się pozbyć przesądów, wiek po temu! Dobrze to, że pan nawet w djabła nie wierzysz, bardzom się uśmieł wczoraj z tego konceptu; ale pocóż się by z tem tak publicznie przechwalać? cha! cha! djabli mają uszy długie, zadać im nieegzystencją, jest to całe piekło oburzyć na siebie... Djabł wreszcie, to wasze przysłowie, nie tak czarny jak go malują...

To mówiąc zakręcił się i zniknął w tłumie, prawie w chwili gdy jenerał brał pod rękę podczaszyc, który stał jak zdrętwiały z podziwu trąc czoło, żeby się przekonać że nie śpi.

— A! a! z kimżeście to tak żywo rozmawiali? spytał Baucher.

— Jenerał więc nie znasz cavaliere Fotofero?

— Mówisz mi pan o nim od rana, ale gdzieżeś go złapał? w Warszawie o żadnym nie słyhać...

— Tylko co odszedł odemnie!

— Był tu? ale-żeś pan nie z nim rozmawiał? podchwycił jenerał, zdawało mi się, że ci coś śmiesznego prawił Turkuł... i Reverdil... Pokaż-że mi tego Fotofero, ja zaraz ci wysłędzę kto to taki.

— Przyznam się, że bardzo byłbym rad temu, odpowiedział podczaszyc, bo zdaje mi się, że sobie pozwala jakichś ze mnie żarcików.

Szukali go po salach oczyma, ale napróżno, przeszli za nim pokoje, wybiegli do przed-sieni, rozpytywali za nim służby, nikt podobnej figury nie widział; co więcej, na liście zaproszonych tego wieczora, żadnego Włocha krom znajomych nie było.

Podczaszyc zagrył usta, zamyslił się, zasępił, a że wieczór zamkowy już się kończył, wyszedł podrażniony i niespokojny chcąc do domu odjechać.

Jenerał napędził go w sieni, chwytając pod rękę.

— Widzę, żeś czegoś chmurny podczaszycu kochany, to nie do twego wieku humor, nie puszczam cię, chodź, trzeba się rozmarszczyć; żebyś spać nie szedł stękając, pojedziesz ze mną do Frascatelli.

Nie można się było oprzeć naleganiom starego, który chwycił protegowanego za rękę, wsadził go prawie gwałtem do karety i woźnicą pokierował jak chciał, nim się Ordyński opamiętał.

IX

W końcu Miodowej ulicy, w jednym z większych jej domostw, w kwadrat zabudowanych, na piętrze od dziedzińca, było mieszkanie pięknej Włoszki, dość ładne i świeże, ale skromne zajmującej pokoiki.

We wszystkich oknach jej mieszkania widać było światła i podjechawszy pod ganecek, karet kilka zastali w dziedzińcu. Na wschodach wiodących na piętro, paliły się dwie chińskie latarnie. Podczaszyc szedł dość obojętny i milczący, jeszcze pod brzemieniem niemiłego zjawiska. Jenerał wciąż z niego sobie żartował, usiłując go i rozbudzić i zaciekawić.

W przedpokoju usłyszeli przybywający głośnie śmiechy i dźwięk klawicymbała, dowodzący że pani była w domu i że się u niej wesoło zabawiano; służący w czarnej bardzo prostej liberji i zręczna subretka krzatali się tu około wieczery, którą podawać miano. Jenerał wszedł naprzód z tą pewnością chodu właściwą dobrze obeznanym, którzy nie pytają o nic, wiedząc że zawsze sobie radę dać potrafią.

W trzecim pokoju za małą salką, przy świetle kilku alabastrowych urn, w których gorzały pęki świec przytłumionem światłem, ujrzeli nareszcie gospodynię okoloną mężczyznami, z jedną tylko płci swej towarzyszką, podziły już śpiewaczką Banini, sławną więcej z otyłości niż z głosu.

Podczaszyc w gronie gości rozpoznał księcia podskarbiego wyciągniętego na kanapie w rodzaju odurzenia poobiedniego czy pobutelkowego, dalej księcia Kazimierza szczebioczącego coś na ucho pięknej Włoszce, starego kasztelana Ł... który młodego udawać lubił, podkomorzego Brańskiego i kilka jeszcze osób całkiem mu nieznanym. U drzwi pierwszych poznała go zaraz gospodyni i pobiegła wesoło ku nowej swej zdobyczy, z wyrazem nietajonym zwycięstwa, w którym coś było i smutku. Zastanowił ją na wstępie podczaszyc pomięszaniem i niepokojem, który się w oczach jego malował.

— Witam miłych panów! — krzyknął jenerał — ha! otóż i my przybywamy! *adsum*.

— Gdybyś miał lepsze wąsy, powiedziałbym i ja — *at! sum* — przerwał książe Kazimierz.

Baucher zdawał się rozśmieszającego nie uważać żarciku i ciągnął dalej.

— Jedziemy wprost z pańszczyzny zamkowej, gdzieśmy Najjaśniejszemu do zmystyfikowania jakiegoś Anglika służyli... Na Boga! kto łaskaw panowie, oszczędźcie mi wstydu, pierwszy raz mi się trafia, że kogoś nie znam w Warszawie... Mości książe podskarbi, kto to jest cavaliere... jakże? Fotofero?

— Fotofero? Fotofero? — powtórzyli echem niektórzy — co u licha! chyba żartujesz? gdzieżeś go wykopał?

— Gdzie? niech poświadczy podczaszyc, że tego nazwiska figura była u podskarbiego, i w zamku pod takim mi się nazwiskiem przedstawiał. Podskarbi mruknął niechętnie ruszając ramionami, że nikogo takiego nie zna.

— Ani ja! ani ja! — powtórzyli inni — to ktoś nowo przybyły.

— Dajmy temu pokój — przerwał podczaszyc zachmurzony, bojąc się by go pytania nie naraziły na jaką śmieszność, może mi się wreszcie to dziwaczne nazwisko przysłyszało czy przywidziało.

— No! a cóż mówicie o baronecie Angliku? — ziewając wrzucił książe Kazimierz-Nestor — dla was to nowalia! Warto, bym za ucho pociągnął tych jeszcze co nie kosztowali tej potrawy — jakże się wam zda John Bull? twardy? ha?

— To jest, jak potrawa wszelka — odpowiedział jenerał — o której trudno sądzić z pierwszego kąska, trzeba się w niej rozsmakować. Zgadzam się wreszcie na zdanie pana Bukatego, że Anglik w domu, dla tych co go *intime* znają, ma być kąskiem smacznym i posilnym, a za granicą jak ostryga rychło się psuje dumą i ubieganiem za oryginalnością... Trzeba go też jeść dobrze wygotowawszy, a nie surowo...

Wszyscy prawie rozśmieli się z tego, serjo bardzo uczynionego porównania, a książe Nestor dodał:

— Wiedziałem z góry, że się wam mój baronet nie podoba. Ja byłem umyślnie z Paryża raz na ich kursach w New-Market i kilka dystyngowanych rodzin angielskich poznałem — kraj niesłychanie wygodny i bogaty, ale wiele rzeczy dziwnych. Jedzą surowe mięso, kowale im śluby dają, a żony jak bydło na targ wyprowadzają, tak, że wcale nie zgorszą jejmość za kilkanaście złotych kupić sobie można.

— Wygodnieby to było — rzekł generał — gdyby ją kto chciał potem wziąć choć z dodatkiem nazajutrz.

— A ha! — odparł książę — kupiwszy trzymaj się towaru! Ale to wszystko żarty — Anglja kraj statystów i polityków, i jak starzy Grecy i Rzymianie, resztę świata niejedzącą surowego mięsa za barbarją mają.

— Tem się to właśnie różni od nas — dorzucił ktoś nieznajomy z uśmiechem szyderskim, bo my wszystkich mamy za lepszych od siebie, i najchętniej aplaudujem gdy nas barbarzyńcami drudzy zowią.

— Siadajcie panowie — przerwała gospodyni melodyjnym głosem, zbliżając się do podczaszycy i wskazując mu miejsce najbliższe siebie.

Pomimo świeżego przykrego wrażenia i niepokoju, którego jeszcze doznawał Ordyński, nie potrafił się oprzeć pokusie modrych oczu Frascatelli, wciąż starającej się jak wąż wejrzeniem tem, gwałtem go pociągnąć ku sobie. Oczy te poruszały go do głębi, budziły w nim strach jakiś i niewysłowioną żądzę zbliżenia się do niej; nie była to miłość, ale jakieś uczucie dziwne, na które bojaźń, żądza, ciekawość i litość się składały.

— Pan podczaszyc, *le dernier venu*, najświeższy, najmłodszy — rzekł książę Nestor — widzę, że nas prawem ostatniego odbije tu wszystkich. — To mówiąc zasiadł szybko z drugiej strony tancerki.

— Ale ostrożnie, młody paniczu — dodał ciszej — my tu już starzy, poopalailiśmy skrzydła nadaremnie; ledwie się doświadczeniem i fortelami ratujemy od jej szatańskich sideł, inaczej potracilibyśmy głowy.

— Mości książę — zawołała Frascatella — zanadto podobno mną straszycie, jest to także rodzaj pochlebstwa, a wiecie, że ja go pod żadną formą nie przyjmuję.

— Czemuże ci kadzić bóstwo nasze, kiedy tej pospolitej woni nie lubisz?

— A gdyby prawdą?

— Prawda tak jak spalone pióro trzeźwi i rozbudza ale nie pachnie, a tak o nią ciężko!!

— Właśnie dla tego lubię ją, że rozbudza i niełatwo się dostaje — rzeczy rzadkie najsmaczniejsze mości książę.

— Co za smak zepsuty — rozśmiał się generał artylerji — powiedz-że mi gdzieś do tej prawdy smaku nabrać mogła?

— W nędzy i w dzieciństwie miałam ją ciągle za chleb powszedni — odpowiedziała z westchnieniem tancerka — dziś już nie kosztuję jej oddawna.

— To lepiej, na starość moja piękna, znowu ci jej podadzą, tymczasem bierz czem karmią kobiety i koronowane głowy.

— Mości książę — żwawo odcięła się tancerka — na starość chciałabym zasłużyć na pochlebstwa i dla tego teraz żądam prawdy.

— Nieźle! ślicznie! Ani naiwna Duthé lepiej by się nie odcięła — zawołał książę skłaniając głowę — ale cóż ci na to odpowiedzieć? mogę przysiąc, że poczęstuję cię świeżą prawdą, ręczę, że piękniejszej, dowcipniejszej nad ciebie nawet w Paryżu nie widział.

— A w Warszawie mości książę? — spytała szydersko Włoszka.

Książę się zaturbował, zmieształ trochę.

— Ręczę, że wasza książęca Mość dzisiejszego dnia przynajmniej pięciu pięknościom toż samo powiedzieć musiałeś!

Podczaszyc rozśmiał się, ale ustami tylko, z tego językowego szermierstwa, chmura jeszcze wisiała nad jego czołem, przed oczyma wciąż się djabeł uwijał.

— Widzę żeś pan czy nudę, czy smutek, czy niepokój, czy gniew wyniósł z zamku — odwracając się do niego spytała Frascatella.

— Nie wiem jakby się to stało — odpowiedział podczaszyc, ale są czasem jakieś niewzyciężone natrętne myśli, które człowieka wszędzie napastują, ani się im opędzić.

— Trzeba się opędać — rzekła Włoszka — i chcieć tylko a ustąpić muszą; my tu pana rozweselim koniecznie, ja nie lubię twarzy chmurnych, kiedy jeszcze smutek na tak młodem rozpościera się czole, to jak czarna plama na białej sukni... jak robak na kwiatku.

— Jakżeś dziś poetyczna! — syknął książę trochę zazdrośny o sąsiada.

— A to księcia dziwi?

— Nic mnie od ciebie piękna pani nie zadziwia, wszystkiego się spodziewam.

— Prócz jednego wszakże, z marsem na czole — żywo odezwała się Frascatella — żebym wśród waszego szatu sama oszalała.

— I to przyjdzie! — rzekł książę.

— Dalipan nie wiem — wmięszal się Baucher — znam tego trzpiota Frascattelę, lat już dwa jeśli się nie mylę, a do tej pory jej nie rozumiem. Robi co tylko możliwe, żeby ją miano za zgubioną, za przepadłą, za straconego aniołka, mówi, chodzi, lata, mięsza się do towarzystw, których dotknięcie truje i gubi, a jak salamandra cała z płomienia wychodzi, i nikt w Warszawie pochwalić się nie może, żeby choć ust jej dotknął, tak jej sztylecik straszy.

Frascatella spojrzała w oczy jenerałowi i parsknęła zimnym śmiechem.

— O! wiem — rzekła — że myślicie, żebym się dawno powinna dla przyjemności waszej zaprzedać i zgubić! Radziłyście temu byli, ale nie znacie jeszcze stworzenia tego, które zowiecie Frascattelą! Jest coś co mnie w tym waszym błocie trzyma niezwalaną na dnie serca do którego żaden z was się nie dostanie.

W tem oko jej w którym igrały zielone i złotawe blaski fali morskiej, padło na podczaszyca zdając się mówić do niego:

— Ty jeden zajrzałbyś może w to serce... gdybyś chciał, gdybyś umiał!

Podczaszyc zmięszal się, a jenerał rozśmiał:

— Możesz ty tylko wielki filut — rzekł grożąc — ale jeżeli z ciebie tak doskonała aktorka, tośmy ci wszyscy winni ogromne brawo! I poklasnął w szerokie dłonie.

— Nie zasłużyłam na tę obelgę — spuszczać głowę chmurno, odpowiedziała Frascatella, bawiąc się ze swoim sztylecikiem — znacie moje życie całe. Komedją w niem jest tylko wesołość.

— Coś bo przechodzisz w dramat Diderot'a — niechętnie mruknął książę — porzućmy to.

— Porzućmy — przerwał Baucher — nie po westchnieniach tu przyszli, każ dawać lepiej wieszczę i kieliszki, bośmy głodni, a czarne myśli idą z pustego żołądka.

Frascatella wybiegła na chwilę, jenerał szepnął podczaszycowi.

— Chyba ty ją potrafisz zbałamucić. Szatan nie dziewczyna. Podskarbi przed rokiem chciał ją po prostu kupić i dawał dobrą sumę, ale mu się w oczy rozśmiała, pytając go, na co mu się staremu zdać mogła? Książę Nestor także podobno tentował gorąco i nadarmo; innym pokazuje sztyleciki jak psy zębki białe kiedy kto je napastuje, a nikt się nie pochwali żeby był u niej w większych od drugich łaskach — przyjmuje u siebie, uśmiecha się, jeździ, kompromituje się po uszy, ale dalej — nic. Są, co mówią, że myśli tym sposobem wydać się za mąż, gotowa tego dokazać! trzeba jej także oddać tę sprawiedliwość, że dobroczynna dla ubogich, serce złote... a trzpiot jak widzisz — djabeł-że ją zrozumie!

Rozmowy, szum otaczającego towarzystwa, wejrzenia, objęły się o podczaszyca, jak czasem we śnie mary dziwaczne okolają człowieka, który się pyta jest-li na jawie czy marzy, nie umiejąc zdać sprawy z tego co doznaje, tak i on teraz pod ciężkiem duszącem wrażeniem swej zmyry, do życia i wesela obudzić się nie umiał. Stał mu ciągle w oczach uśmiech cavaliere Fotofero i jego osobliwsza rozmowa.

Podano wieszczę, przy niej i przy kieliszkach na których szcęk obudził się książę podskarbi znużony, posypały się gradem koncepta, piosenki, historyjki, plotki, poczęto opowiadać kronikę tajemną dworu i Warszawy, liczyć zmiany kochanków wielkich pań, opowiadać awantury zaszle w ciągu tygodnia, klótnie małżeńskie, zgody dawnych kochanków, i tysiączne podobne nowinki. Podczaszyc wciąż siedział chmurny i oczy nawet a usta pięknej Włoszki wciąż ku niemu zwrócone, ożywić go nie mogły.

— Do licha — szepnął w duchu przyglądając mu się jenerał — czy nie goły on tylko! czy się gdzie dziś nie zgrał? ale to być nie może! Ślicznie bym się wybrał, żeby on u mnie pieniędzy zażądał. Ale nie, to coś innego, niepodobna! wiem że ma kredyt u Teppera

i u Schultza na 10.000 dukatów, tegom pewny, już ciż go w dzień jeden nie pożar! albo to coś żołądkowego, albo serdecznego!

I spytał w końcu po cichu podczaszyc:

— Przyznaj bo mi się do licha co ci jest? jeśliś chory, niema się czem martwić, zawiozę cię zaraz do Beklera, może to na razie ubije...

— Dziękuję ci panie jenerale — odparł podczaszyc — alem zupełnie zdrów, to są zwykle moje humory, które mnie niekiedy napadają...

— Nic innego, tylko źle trawić musisz — rzekł serjo sentencjonalnie jenerał — trzeba ci się kogoś poradzić, na to są doskonałe pastylki, a tymczasem spróbój się napić wina.

Ale i wino nic nie pomogło, gdyż rozmarzyło tylko podczaszyc, spotęgowując w nim wszystkie przywidzenia, powiększając obrazy, które głowę zalegały, rozmnażając strachy co chwilami opanowywały jego duszę.

Frascatella daremnie sadziła się na dowcip, zaczepiała, drażniła, słowa z niego dobyć nie mogąc. Nareszcie Baucher widząc że na to nic poradzić nie umie, i że go sobie samemu zostawić potrzeba, pożegnał gospodynię, i że jedną jechali karetą, zabrał go z sobą do domu.

Przy rozstaniu, Frascatella schwyciła go za rękę z wyrazem litości i serdecznego zajęcia.

— Niech też pan gdy będzie weselszym, lub wesołości zapotrzebuje, czy podziału smutku, nie zapomina o mnie. Rada zawsze będę widzieć go u siebie.

Ordyński spojrział w piękne oczy, uśmiechem i skinieniem głowy odpowiadając jej tylko.

X

Ruszyli w ciemne ulice, oba zamyśleni i milczący — ale zaledwie ujechali kilka kroków od mieszkania Frascatelli, nagle karetą zupełnie się przechyliła i upadła na stronę jenerała, który przeraźliwie krzyknął, niezmiernie się bowiem obawiał kalectwa. Zaczęli wołać na furmana, a ten i tak już konie był jakoś powstrzymał, postrzegłszy że się karetą przechyliła, koło spadło i złamana oś rznie po bruku.

Radzi nie radzi wydobyli się oba z powozu, jenerał klnąc Dangła, kareciarzy, i starannie się opatrując czy sobie czego nie stłukł, podczaszyc śmiejąc się trochę z Bauchera niecierpliwości i strachu. Dla jenerała, piesza po nocy przechadzka, wyjąwszy chyba taki przypadek jakim był zwyczajki pochód księcia podskarbiego, niesłychaną wydawała się rzeczą, grożąc chorobą, katarem, kaszlem, a co gorzej djetą, tyzanną i siedzeniem w domu...

Wielce niespokojnie oglądał się Baucher szukając oczyma powozu, fiakra, bodajby jakiego-kolwiek wózka czy kar co by go do domu odwiozły, ale w ulicy pusto było zupełnie i cisza do koła. Księżyc świecił prześlicznie, jedną połowę kamienic pełnym oblewając blaskiem. Jasno było, mróz niewielki a śnieżek świeży iskrzył się jeszcze niedotknięty stopą; niebo całe zasiane było brylantowemi gwiazdami — a po niem przelatywały tylko białe lekkie obłoczki.

Podczaszycowi przechadzka ta nocna podobała się bardzo, ale Baucher wciąż mruczał i przeklinał.

Wtem po za niemi, zgraja ludzi wielka wysunęła się przybliżając z krzykiem i wesołemi śmiechami, które jakąś zdawały się oznajmywać zabawę uliczną. Był to gmin różnobarwny z rzemieślników, czeladzi, sług i drobnego mieszczaństwa złożony, który zwabiało coś niezwyčajnego. W rozochoconym tym tłumie, widać było raczej podnieconą ciekawość, niżeli inne jakie uczucie, któreby jenerała miastu niedowierzającego, zniespokoić mogło. Przodem szło dwóch okrytych płaszczami ludzi dźwigających na drągach coś w rodzaju małej lektyki; poprzedał ją trzeci niosący gwiazdę osadzoną na wysokim kijku, z jaką po kolędzie chodzą około świąt Bożego Narodzenia; za niemi wlokła się zwykła koza, dziad i baba, i jak się domyślać było można jasełka. Ale to wszystko jeszcze nie usprawiedliwiała tłumy, bo ten się na to widowisko nigdy taką cizbą nie zgromadzał. Jenerał obejrzał się pomrukując.

— A to ciemiegi! próżniaki, furfanty, patrz tylko podczaszycu ile się ich to wlecze za lada jasełkami...

— Ba! ba! ale bo to nie lada jasełka, odparł głos jakiś tuż za jenerałem.

— No! no! i cóż takiego osobliwego? odwracając się dumnie spyta Baucher.

— A dalipan ciekawości... którejby się i paniskom popatrzeć nie zawadziło! rzekł idący chłopak.

— Co? król, Herod, śmierć, baba i tym podobne — dorzucił wzgardliwie jenerał.

— A może i coś więcej oprócz nich się znajdzie, i biskupów kilka par, i hetmanów kilku, i kasztelanów z pół tuzina, i książąt dobra garstka, kilku posłów i czego tam niema!

— W jasełkach? zapytał podczaszyc.

— Ale bo to panie nie lada szopka! mówił z wielkim zapalem wyrostek idący z tyłu za nimi, to ze śmiechu pękać potrzeba... Oni tu zaraz w szyneczku Różanej Magdy zastanowią i pokazywać będą...

— Podczaszycu, szepnął Baucher, zatrzymując towarzysza, jak myślisz, trzeba by to może zobaczyć? to może być *anyuis sub herbis*, warto się przekonać, co oni mówić mogą o tych niezwykłych w jasełkach figurach? Może to znowu jakiś paszkwil zamaskowany nowego rodzaju! Chodźmy-no, popatrzmy!

Podczaszyc obojętny ruszył ramionami i rzekł:

— A kiedy pan chcesz, służę mu, i owszem.

Zatrzymali się nieco w ulicy i tłum nadchodzący wkrótce ich oblał; wzięwszy się pod rękę, usiłując ciągle utrzymywać na przedzie, choć popychani poszli z ciżbą, i z nią razem dobili się do tego szyneczku w który cała czereda z gwiazdą, z szopką, kozą, babą i dziadem wparła się okrzykami, zajmując ławę najbliższą widowiska.

Szczęściem izba szynkowa była obszerna i co raz pomnażająca się publiczność, miejsce w niej choć niebardzo wygodne znaleźć mogła. Rysia szuba jenerała, jego mundur choć starannie pod nią pokrywany, wytworny ubiór podczaszycy i fryzury obu, trochę im wolniejszego placu zjednały; resztę zajęła młodzież, starzy, dzieciuki z podełba spoglądający na intruzów, i nie bez szyderstw cichych pokazujący ich sobie palcami.

Była to scena malownicza, okryta zakopconem sklepieniem starego domostwa, oświetlona kilką cienkimi, świeczkami, umieszczonymi w lichtarzu żelaznym, wieloramiennym, wiszącym od stropu i poprzybijanych do ścian świecznikach. Głęb zajmowały półki z butlami i wielki stół szynkowy, za którym królowała Magda zwana od dawna nie wiem dla czego Magdą Różaną, może od zaprawnej tym sposobem wódki, którą sprzedawała, może od różowych teraz aż do zbytku policzków. Była to sobie tłusta baba w czepku na bakier, dość niedbale odziana, której ani śmiałości, ani siły, ani donośnego głosu, potrzebnych do utrzymania porządku w szynku nie brakowało.

Surowa dla swych gości, sumienna, ale w razie potrzeby i do gwałtownych środków umiejąca się uciekać, czego dowodziła miotła na grubym kijku osadzona i w kącie przy niej stojąca; często nią karciała, sama sobie prędko wymierzając sprawiedliwość, upartych opojów i zwadliwych włóczęgów.

Ledwie to wszystko wcisnęło się do izby, a już jej głos tłumiący szmery i śmiechy, wyżej zabrzmiał nad wszystkie inne:

— A co to tu was tak nalazło? tyatr toście to sobie obrali cy co? zawołała — na co mi te goście? Hola? idźcież mi zkądeście przyszli, a nie, to was nauczę jak innych! tu nie hece — chcesz drugi piwa albo wódki to se pij, ale kto niepotsebny rusajcie se z Panem Bogiem, zebym was nie pocęstowała cem inem...

— Ej Różana Magdo! Magduniu! Jejmościuniu kochana! odezwał się szewc, którego i po twarzy i po fartuchu poznać było można, że kopytem władał — a coście to tak posrożeli? A co to wam szkodzi że my tu se jasełek popatrzym, a taki utargujecie od niejednego.

— Co mi tam was targ, patsaj go! gęba by cholewa, rozumuje! patsaj go! Jesce mi tu będzie targiem dowodził! Abo to ja o ten gros stoję, a co mi za sobą błociska i świędu naniesiecie, to się ich do tygodnia nie pozbędę! tego mi nie licys! Zebym po was myła i sorowała podłogi, nie chcę ja tego — niedoceanie wase.

— Niechże pani pozwoli, rzekł grzecznie czapkę zdejmując ten co jasełka pokazywał, przecie i sami popatrzycie się i zabawicie, a nam jaki grosz dacie zarobić — bardzo was ślicznie prosim i ja i koledzy.

— No! no! trochę udobruchana nalewając już wódkę kilku, mruknęła ciszej Magda, tylko mi się zwijajcie, a żywo i prec, bo ja synk zamykam! Tłumu mi nawiedli, a mnie to na co! Jesce się tu marsalkowsy pacholcy dowąchają... to i bieda!

Burczała by może i dłużej, ale starzy znajomi powoli ją jakoś odobruchali, fiaska też pobrzękiwała nieustannie i pieniądze się sunęły... Zamilkła.

Ustawiono szopkę w pośrodku izby na przysuniętej do ściany ławce, o co znowu Magda się klucić poczęła; gwiazda jęła się kręcić, koza skakać, korytna jasełek sporządzonych wcale misternie, podniosła się do góry. W nich widać było narodzenie Pańskie w górze, z dziecięciami we żłobie, Marją, Józefem, wołkiem, osiołkiem, pasterzami.

Dołem był próżny jeszcze teatrzyk. Odśpiewano naprzód pobożną pieśń starą o Btlejem, z której jenerał i podczaszyc po cichu, ostrożnie spojrzawszy na siebie, zaśmiali się, tuż i król Herod i trzej królowie i śmierć wystąpiła, potem żydówka i djabeł... tęgi djabeł czarny; z rogami, na kozich nogach, z widłami, z pazurami i z czem pospolicie djabli chodzą.

Podczaszycowi tylko się nie podobał, gdyż znowu mu się zdało, że do jego obrazu był podobny; zniespokoił się trochę, usta zacisnął, ale szatan rychło pociągnawszy żydówkę zniknął, a tuż poczęły się ukazywać postaci jakieś niezwykle w jasełkach. Jenerał trącił w bok łokciem towarzysza, zwrócili uwagę całą na tę część przedstawienia.

I było na co: występowały bowiem figury całkiem nowe i przewybornie, kunsztowniej nad pospolite wystrugane, pomalowane, poubierane. A naprzód w duchownej sukni biskupiej, ktoś twarzy chmurnej, zasępionej, poważnej, dumnej; po minie zręcznie skarykaturowanej poznać go było łatwo. Figurka ta zakręciła się, stanęła w pośrodku, a głos z za szopki szybko wydeklamował cztery wiersze w sposobie zagadki do niej zastosowane²:

Twarz biała, strój czerwony,
Partyzant... dalekiej strony.
Bale daje, sam nie skacze,
Tylko na poddaszu płacze.

— Prymas! prymas! cicho poczęli szeptać przytomni, a tu i Magda z ciekawością, zatknawszy butel przechylała się z za stołu ku szopce i przyglądać zaczęła.

Wtem figurka pierwsza przesunawszy się przez teatr znikła nagle.

Jenerał poblądł, zatrząsł się, ale milczał.

Po pierwszym, znowu ktoś wysunął się w fiolecie powoli, okręcił głowę, skłonił, buziaka od ust posłał w stronę Magdy, i z za szopki tenże głos wywołał równie szparko:

Nadto skąpy dla kraju, dla duszek wspaniały,
Na oko patryjota, sercem Prusak cały.
Ma niektóre przymioty, lecz te ćmi niestety,
Niewdzięczność ku tej, co nań wdziwała fiolety.

Śmiechy głośne, brawo! brawo! ksiądz biskup kujawski! poczęto wołać z różnych kąców. Jenerał z drugimi nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale niepokój go opanował. — Co te jasełka znaczyć miały. Kto je tak dobrze urządził na pośmiewisko najwyższych dygnitarzy, co dalej wyjść z nich mogło?

Wtem, maleńka figureczka fertyczna wylazła i skłoniła się dość niezgrabnie, włokąc za sobą długo rozpostartą chustkę od nosa, a głosik za nią wydzwonił:

Więcej fałszu niż wzrostu,
Gada niby po prostu.
Patryjota czuły,
Dla wakującej infuły.

— Biskup płocki! biskup płocki! zawołał sam jenerał, chichocząc mimowolnie — ale to mości panie, szepnął na ucho podczaszycowi, to nie są proste żarty tych ludzi, oni nie wiedzą co im za paszkwil podyktowano — to *materia status*, to zamach ogromny! Dobrze się stało żeśmy powóz obłamali, muszę o tem donieść królowi, to nielada głowa tworzyła.

²cztery wiersze w sposobie zagadki do niej zastosowane — wszystkie te zagadki są historyczne, przypisują je Kajet. Węgierskiemu. [przypis autorski]

Raz jeszcze i drugi pokazali się duchowni, których Baucher za ciżbą i hałasem a śmiechami rozpoznać nie mógł ledwie ich najrzawszy; wreszcie trzecie fiolety wystąpiły poważnie, figura co się zowie wielkiego świata, biskup w wytwornych błyszczących trzewikach, pończochach, rękawiczkach i koronakch, głowa upudrowana jakby z młyna, na palcach sygnetów pełno, z za jasełek deklamują:

Biskup przystojny, mowca zabawny,
Kursor wyborny, gracz w wista sławny.
Intrygant zręczny, podszyty cnotą,
Króla i wszystkich przeda za złoto.

— ...ski! ...ski! huknął tłum jednym głosem.

— Niechże go kaci porwą, to soli! ruszając ramionami wyburknął jenerał, po którym już ciarki chodźć poczynały, żeby gdzie w jakim kątku szopki i siebie nie znalazł. Po duchownych nastąpili w istocie świeccy senatorowie i dygnitarze, a między nimi łatwo można było poznać świeżo widzianego u Frascatelli kasztelana L...

Nie czekając epigramatu, którego treści łatwo się było domyślić, jenerał nosa spuścił i brwi namarszczył, wierszyk był taki:

Kiedy Wenus była w modzie,
Stawił jej domki przy wodzie.
Dziś gdy ją odarł ze cnoty,
Nosi imię patryjoty.

Figura i okoliczność wzmiankowana zbyt były znane, żeby się kto mógł na nich omylić, a jenerał tak się rozsiardził, że go już tylko pobudzona ciekawość trzymała w miejscu; gdyby mógł, byłby dobywszy szabli ciął i jasełka i deklamatora.

Pokazał się ktoś zamaszysto i raźnie poskoczył, stanął na nogach jak kolos Rodyjski i wąsa pokręcił:

Brzuch tłusty, z masłem jada,
Łeb pusty — baje gada.
Wymowa nie lada jaka,
Rzadki talent na kozaka.

Mowa była o mało zresztą znanym pośle Inflantskim (Kub...), którego w tej karykaturze nikt prócz zamkowych gości nie poznał.

Aż zimno im się zrobiło, gdy za nim wystąpił książę Nestor w mundurze artylerji, czupurno, galancko, ale czterech wierszy, które mu wydeklamowano hałas nie dał usłyszeć. Po nim ukazała się popularniejsza postać hetmana polnego: wyszła na scenę z maluteńką buławeczką, wiodąc pod rękę dość wyczupurzoną panienkę.

— Dalibóg! krzyknął jenerał, wykapany! a! zgroza! nic już nie ma świętego!

Osoba wspaniała,
Acz buława mała.
Amant nieustanny,
A zawsze do panny.

Śmiech powstał w tłumie, który i Magda na wiarę innych podzielać zaczęła.

— Niechże go słota porwie, zawołał szewc biorąc się w boku, ależ konceptu nie kupował! a goli bez mydła.

— To też zacina miejscami! dodał drugi.

Zanosilo się widocznie na jenerałny przegląd wszystkich ówczesnych znakomitości, bo dalej ukazano marszałka wielkiego koronnego, który wyniosła niosąc laskę, obszedł w koło szopkę, kilka razy nią stuknął i stanął.

Laskę po izbie nosi,
Arbitrów na ustęp prosi.
Piersi do głosu ma słabe,
Wszyscy go mają za babę...

— To *crimen status!* to *materia status!* przerywanym od gniewu głosem wołał generał oburzony, ledwie się mogąc umitygować — ale — cierpliwości, jutro na to poszukamy rady.

Jedną z najzabawniejszych postaci była pana Ogińskiego, którego wyprowadzono z flecikiem pod pachą, z nutami, w niemieckim stroju, bardzo kuso odzianego, z bukietem u guzika, a deklamator ukryty, wyrecytował jak z procy:

Talenta nie pana,
Mina nie hetmana.
Samochwalca bez wiary,
I ma k..ogoś choć stary.

Śmiechu trudno już było utłumić, tak się rozległ głośny, szczery, hałaśny po tych kilku wierszykach, które do reszty rozjątrzyły trzęsącego się generała. — Podczaszyc uśmiechając się poglądał na to widowisko nie zdając się niem wiele zajmować, tak mu jeszcze djabli po głowie chodzili.

Nie brakło nikogo, wyszedł i kanclerz Sapieha.

Obojętny na los kraju,
Siedzi sobie w swym seraju.
Przestał sądzić mieszczanów,
Jak też osądzi panów??

Za nim kanclerz Chreptowicz, jeden może, któremu złośliwej nie przypięto łatki, wyszedł w szarym stroju, ręce w kieszeni, książka pod pachą, zamyślony, głowa na dół, oczy w ziemię:

Wiele czytał, dobrze myśli,
Chłopom swoim prawa kreśli.
Wiele umie, cicho gada,
Nie ma koni, choć ma stada.

Jenerał tylko głową pokiwał.

— Zdradza się autor — rzekł — trzymamy go tedy, pochwałą się nam zdemaskował! słuchajmy dalej! słuchajmy!

Po Chreptowiczu wyszedł P... marszałek W. Ks. Litewskiego, któremu się tylko do stało w końcu:

Mają go wszyscy za Włocha.

Rzewuski hetman polny, Ostrowski kasztelan, Czerski, którego wierszyk skąpstwem prześladował, nazywając liczy-krupą, Żarnowski, poprzedzili żywą znajomą bardzo postać hetmana wielkiego koronnego, butną i junacką, w jeneralskim mundurze cudzoziemskiej barwy.

Jenerał aż się ugryzł za palec, gdy usłyszał śmiało wywołany czterowiersz — ...

Mina z polska junacka,
Splamiła go krew bracka.
Kufel w ręku, w uściech cnota,
Z... patryjota!

— *Vehementer!* — a przysięgnę, że to Węgierskiego koncept, zawołał Baucher, starając się o ile mógł wytrwać do końca — albo się bardzo mylę, albo by nikt inny tyle sprytu i odwagi nie miał!

— Palnął nam sztukę na odjezdne!

Wystąpił jeszcze i ksiądz biskup Krasicki, strojno, wytwornie, z książeczką ślicznie oprawną w rękę, w rokiecie, z bukietem u niej, a deklamator mu przyciął:

Ten modny galant, nigdy mszy nie miewa,
Tylko z damami *sursum corda* śpiewa.

— Nic nie poszanowano! nic! zgroza! mruczał stary dworak zgrzytając zębami, tak że aż na siebie oczy patrzących obracał — cierpliwości! cierpliwości do końca!

Ale widowisko się przedłużało, gdyż satyryczny poeta chciał widać wyczerpać wszystkie znakomitsze postacie swojego czasu i nikomu płazem nie puścił.

Podczaszyc uśmiechnął się na widok księżnej wojewodzicowej mściławskiej, której figurka dość dobrze ruchawą panią prezentowała.

Z za szopki dosłyszeli słowa:

Ojczyzny matka jedyna,
Kazia ma syna.
Króla zawsze łaje,
Gdy jej nic nie daje.

Na biskupów zwłaszcza ów nieznaną poetę ząb szczególniejszy mieć musiał, bo żadnego z nich prawie bez przyczynki nie minął; kolej przyszła na ...lskiego i temu darować nie myślał:

W uściech cnota, w sercu zdrada,
O ojczyźnie zawsze gada.
Siada blisko przy tronie,
W fioletowym robronie.

Nie zląkł się ten paszkwilista, ani księcia Stanisława Poniatowskiego, ani księcia jenerała ziem Podolskich, o którym tylko delikatnie powiedział:

Nie chce dać czuć swojej siły.

Zaraz za mężem wystąpiła żona, ale co jej wydeklamowano, pochwycić się nie dało przy szmerze; była i hetmanowa Ogińska, o której co śpiewano nie dosłyszał jenerał z teje samej przyczyny. Nie darowano i Małachowskiemu kanclerzowi, ni innym dostojniejszym. Wyszedł wreszcie poseł podlaski A... wybornie wydany z całą charakterystyką swej postaci, którego poznał każdy kto go choć raz widział, nim jeszcze zagadnął u niego deklamator, w następujący nieoszczędzając go sposób:

Coś na łbie nosi,
Króla na obiady prosi.
Wąsy goli choć ma siwe,
Sam zawsze — *affirmative!*

Jeszcze chwila, a już się i scena skończyć miała, bo Magda niecierpliwiła się nie pomału wolając co chwila na gwiazdździarzy, by się uwijali a kończyli. Jenerał drżał z gniewu, gdy w tem — kubek w kubek ujrzał drugiego siebie, poznawszy się po brzuchu, po stroju, po minie; ścierpl, gdy nieposzanowawszy i jego zaczęto szamerować. Tego już wytrzymać było trudno.

— Podczaszycu, zawołał, pomagaj!

I skoczył do tego co po za szopką stojąc deklamował, by go za kołnierza pochwycić, ale w teje chwili tak go ścisnęli jakoś przytomni, że mimo szamotania ruszyć się nie mógł

z miejsca i pozostał z wyciągniętą ręką, patrząc jak się owi pokazujący jasełka wynosili, uciekając na łeb, na szyję...

— Trzymaj kto pocziwy! trzymajcie tych trutniów, albo mi wszyscy jutro będziecie za nich odpowiadać przed sądem marszałkowskim! Rwał się i wołał, ale nadaremnie; śmiejąc się jasełkarze, potem widzowie i słuchacze tłocząc wypływali z szyneczku i rozpierzchali z ulicy, każdy w swoją stronę. Gdy generał uczuł się wolnym, już nie czas było gnać, a śmiesznym wołać o pomoc, której by nikt dać nie myślał. Baucher więc obwinął się w futerko i równie chmurny jak podczaszyc, pociągnął za nim, odgrażając na występnych.

— Jutra — chybabym nie doczekał! Zdam królowi JMci sprawę z tego cośmy tu przypadkiem złapali, mrucał gniewnie, dojdziemy tych co pod bokiem N. Pana, jego najpoufalszych, najulubieńszych śmieją podawać w pośmiewisko i ohydnie czernić! Ja sam, ja delatorem i instygatorem będę do przykładowego ukarania, bo to nie szewcy, nie mieszczanie w tem, nie prosta hałastra, ale znajoma partja, i nie lada jaki partola składał te kolące wierszyki! Wszystko wyjść musi na jaw, bodajbym głową nałożył, a swego nie daruję!!

Tak miotając się w gniewie bezsilnym, generał doszedł przecie do Krakowskiego przedmieścia, gdzie fiakra znalazłszy, kazał się odwieźć do domu; a podczaszyc pożegnawszy go znużony, pieszo, że wieczór był piękny, poszedł zamyślony ku swemu mieszkaniu.

XI

Uczucia które w tej chwili miotały młodym Ordyńskim, nie łatwo wytłumaczyć się dają; sam on z nich nie umiał sobie zdać sprawy. Była to jakaś tęsknota niewysłowiona, coś jakby uczucie wielkiego zawodu i znużenia. Przypomnienia chwytaly go na swe skrzydła i przenosiły w dziecinne lata ku Głuszy, którą widział jak nigdy nie miał ujrzeć więcej, z siedzącą nad księgą i różańcem staruszką modlącą się z błogim uśmiechem spokoju, z Anusią czarnem okiem wyrzucającą mu jego płochosć, z tysiącem tych drobnostek które przychodzą na myśl często w chwili boleści, niewiedzieć zkąd i dla czego. Jasno, wyraźnie przypominał sobie najmniejsze okoliczności swego dawnego życia na wsi, które mu z dzisiejszego stanowiska nie wiem czemu tak nęcącym się zdawało, odurzał się niemi by zapomnieć o zjawisku które go prześladowało, po za wspomnieniami podnosząc groźnie głowę i zaglądając mu w oczy.

Tak rozmyślając zbliżył się podczaszyc do swojego mieszkania i wpadł na wschody dowołując się uspionej już służby.

Paki jakieś i wozy zastał na dziedzińcu, a w pokoju sypialnym do którego wszedł, pierwszym przedmiotem uderzającym oczy, był na kanapie stojący rozpakowany obraz Ś. Michała, Archaniola ze zwyciężonym szatanem.

Włosy znów najeżyły mu się na głowie.

— Co to jest? kto go tu przyniósł? zapytał służącego.

— Poprzywożono niektóre rzeczy z Głuszy, odpowiedział rozespany lokaj, Labe Poinot był ciekawy obrazu i sam go dobył.

— Wynieść mi go ztąd! z gniewem prawie zawołał Michał, nieośmieliwszy się nawet drugi raz rzucić okiem na malowidło, z którego czuł na siebie zwrócone szyderskie wejrzenie zwyciężonego ducha. — Gdzie jest Labe Poinot?

— Oto właśnie jestem! odpowiedział z uśmiechem nadbiegający Francuz. Przesłano tu z Głuszy z rozkazu nieboszczki pani starościny i jej rozporządzenia, niektóre graty, które wedle jej testamentu mają do pana podczaszyca należeć i między innemi był ten obraz, do którego jak widać wielką przywiązywała cenę, z uśmiechem i ruszeniem ramion dodał Labe, ale ja w nim, przyznam się, nic prócz ciekawej pracowitości malarza nie widzę. Jednak to stary zabytek, sądzę że z końca XV. wieku pochodzić musi, świadczy o tem naiwność stylu. Starościna chciała żebyś go pan miał ciągle przed oczyma, bo wyraźnie to umieściła w swoim testamencie, że ma wisieć w jego pokoju, jako pamiątka po niej... przysłano także trochę innych sprzętów, widać pocziwa staruszka, chciała jak najdłużej pozostać w pamięci wnuka.

Podczaszyc westchnął odwracając się i niedając poznać po sobie, jak go silnie obeszło zjawienie się tego obrazu. Poinot wziął go za czułość.

— A ba! rzekł w sposobie pociechy — umarłym wieczny odpoczynek, zawsze po nich płakać nie można — zmieńmy przedmiot — cóżeś pan porabiał?

Po części rad dystrakcji, wypowiedział się swemu dawnemu nauczycielowi podczaszyc, ale jednakże o djable i Frascatelli nie wspomniał; — opisał tylko obiad u księżnej wojewodzicowej, wieczór w zamku i przypadkowe widowisko na które trafili w szynkowni.

— To ma wielkie znaczenie polityczne, rzekł zamyślając się Francuz. Odwaga szczególna! pod bokiem króla! Jutro o tem przez jenerała, zamek i wszyscy wiedzieć będą; nie rad jestem żeś pan był tego świadkiem, bo go Baucher pociągnie do tej sprawy niepotrzebnie. Ale co się stało — stało się! Byleby król jak to często bywa, jeśli się nic nie odkryje, żalu nie miał w sercu do tych co mu o tem donieśli.

— Zdaje mi się, rzekł podczaszyc, żeby to było wielką niesprawiedliwością, cóżeśmy temu winni?

— Winni czy nie, a skrupić się na was może, boście nadto widzieli. Jestem pewny, że się te marjonetki nie pokażą więcej, ani ich potrafią dośledzić... król będzie markotny.

— Niechże sobie zły humor królewski spłynie na jenerała, czemu on ich nie chwycił.

Po odejściu Poinot który zaraz poziewać zaczął, ażeby miał powód podczaszyc pożegnać, Ordyński usiadł znużony przed stołem na którym zastał pożegnanie babki i list matki. Z bijącym sercem wziął oba, a łza wytrysnęła mu z oka czytając wyrazy nakreślone ręką drżącą starościnej. Duch zmarłej pobożny, rzewny a pełen rezygnacji i pokoju, wiał z tego pisma które już na łożu śmierci dyktowała. Czuł Ordyński że rady jej były święte i wiedział że nie pójdzie, nie potrafi iść za niemi, że dla niego już za późno. Babka przypominała mu Boga, obowiązki, życie dziadów jego proste i wielkości pełne, święte ich obyczaje i panującego im ducha ofiary.

— Dziecię moje, mówiła jeszcze z za grobu, niech ci nic nie zdaje się małym na świecie, nic próżnym. W każdym słówku jest nasienie przyszłości, w każdym serca uderzeniu nieprzeliczone następstwa. Módl się i oczyszczaj modlitwą, pilnuj byś się nie skalał towarzystwem ludzi złych, a nawet próżnych, bo jeden krok często całe zwikła życie. Nie dopuszczaj nawet myśli do siebie, którejbyś głośno wyznać się wstydział. Żyć będziesz w tłumie zepsutych; wybrnij z niego jak wyszli młodzieńcy święci z rozpalonego ogniska — męczennikiem a niepokalanym.

Myśl swoją podnoś do Boga, wymódl u Niego opiekę i zwiąż się z Nim, nieustannie ku Niemu westchnieniami, a pamiętaj że niema upadku z któregoby nie podniosła skrucha, żal, pokuta, łzy i modlitwa.

Znać staruszce żal było rozstać się ze swym wychowawcą, bo list był długi, czuły, troskliwy, macierzyński, a podczaszyc czytając go przeniósł się znowu w dziecinne swe lata, serce mu biło, zaciemniało w oczach, rzucił pismo nie dokończywszy go.

— A! po czasie, rzekł — te rady, te życzenia twoje! czemuż ani wierzyć nie mogę, ani się modlić, ani z żalem po wierze i modlitwie jak inni rozbratać? Jestem jak ptak któremu obcięto skrzydła, szamoczący się próżno by podlecieć — i upadający na ziemię.

Łza długo zbierająca się stoczyła się na list babki.

— Dziwne, dziwne zaprawdę zrobili ze mnie stworzenie, rozszarpane na dwoje, rozdarte wpływem dwoistym i nieumiejące obrąć sobie drogi — idące jedną, płaczące za drugą!!

Wtem oko podczaszyc spostrzegło nierozpieczętowany list matki, który z pożegnaniem także wysłała, widać z pierwszego w drodze noclegu. List ten całkiem był odmienny, znać było że go pisała kobieta całkiem zaprzętą sobą, świat widząca zimno, poziomo, po ludzku. Zalecała w nim ostrożność, dworszczyznę, pomiarkowanie a nie cnotę, pozory nie poczciwość szczerą; obawiała się rozrzutności syna i strat na które był narażony, więcej niż skalania jego duszy, nieprzyzwoitości więcej jak występku. Każde jej słowo napiętnowane było rozwagą doświadczenia, ale się nie podniosło do Boga i do nieba, zapominając o obojgu.

Zimno też przebiegł okiem to pożegnanie matki Ordyński, bo do serca jego przemówić nie mogło, odsunął je nawet z pewnym wstrętem, bo stokroć powtarzane rady te niecierpliwiły go tylko, nie trafiając do uczucia, nie mogąc przekonać umysłu... Wielkimi krokami począł rozmyślając chodzić po pokoju.

— Dlaczegoż bym, rzekł dodając sobie ducha i odwagi, miał zważać na płaczące mi się przed oczyma mary? pocom tu przybył? używać, rozpocząć życie! Poinot ma słuszność

— są losy nieuniknione, jest jakaś fatalność, musimy iść z przeznaczeniem naszym, jak żółw z pokrywającą go skorupą. Spróbuję, użyję świata, napiję się ze wszystkich naczyń rozkoszy, skąpię się w tłumie, zaszaleję... Życie bez tych wrażeń byłoby ciągłym pochodem pogrzebowym przeszłości. Nie! nie! dość tych bałamuctw! Szatan! to przywidzenie głupie, przypadek, hallucynacja jakaś chorej głowy — precz z nią! otrząśnijmy się, nie będę o tem myślał i zniknie fantazma.

Stanąwszy u stolika zobaczył na nim różaniec z opalów i granatów, które mu babka ostatnią na nim zmówiwszy modlitwę, przysłała, przypomniał sobie polecane przez nią pacierze i już chciał do nich po staremu uklęknąć, gdy mu przeszkodził wchodzący sługa.

Pobożność jego nie była tak silną, by się nie obawiała śmieszności; ta mała na pozór okoliczność, przerwała dobrą intencję, nie ukląkł, rozebrał się i usnął miotany marzeniami nieporządnie odtwarzającymi gorączkowe dnia widzenia i myśli.

Frascatella na przedzie wiodąc szereg mar dziwnych skakała przed oczyma jego, wabiąc go przez tłumy ku sobie, jenerał go ciągnął, Fotofero mu się kłaniał groziła matka a babka płakała, — Poinsoł stojąc na boku ruszał ramionami...

XII

Nazajutrz rano przebudził się podczaszyc znużony walką z widziadłami sennemi, ciężki i smutny. Ale biały dzień jasno wpadający przed odsłonięte okna, orzeźwiał go nieco swym blaskiem; pierwsze jego wejrzenie padło na pamiątki po świętej staruszce, które schwycił i pochował, jakby się i tych oznamionowanych pobożną myślą drobnostek wstydził przed ludźmi. Obraz tylko na który spojrzeć nawet się teraz wahał, pozostawił na wierzchu, bo go usuniono, ale nie wyniesiono. Ale od niego podczaszyc uciekł zaraz z mieszkania, a czując potrzebę ruchu i powietrza, do których przywykł na wsi, naprędcie się ubrawszy do piechoty, incognito zszedł na ulicę.

Tłumy, bo to była niedziela, przepływały w różne strony, wesole, wrzawliwe, zajęte; dzwony głośno, wesoło kołyszając się, napełniały powietrze srebrzystym swym dźwiękiem śpiewając o Bogu; wieśniacy z okolic zapełniali nowym żywiołem place targowe i ulice, gwar z sobą wiejski i swobodę wnosząc do miasta. Ordyński sam o tem prawie nie wiedząc, skierował się ku krakowskiemu przedmieściu, zszedł na boczny chodnik zamyślony i zdziwił się gdy go tłoczący się lud wniósł nieopierającego się, obojętnego do Świętokrzyskiego kościoła. Ranna to była jeszcze godzina, w której mieszczanie członkowie bractwa odśpiewują godzinki. U bocznego ołtarza św. Karola, ksiądz staruszek mszę odprawiał, podczaszyc oparł się o słup i chwilę pozostał nieruchomy. Naprzeciw niego tyłem zwrócona ku niemu, klęczała jakaś kobieta, której tylko mimo ciepłego ubrania zręczną kibić widać było. Zdawała się gorąco zajęta modlitwą, a nabożeństwo jej pełne ruchów, egzaltacji, westchnień, coś miało tak uderzającego, że nawet Ordyńskiego zwróciło oko. — Szczęśliwa — rzekł do siebie, modli się, wierzy, spodziewa! Ja idę przez świat omackiem! — W tem gdy się właśnie msza kończyła, powstała kobieta, i z podziwieniem niezmiernym podczaszyc poznał w nieznamomej — Frascatelę. Tancerka zaraz go też postrzegła, uśmiechnęła się jakoś smutnie, biorąc może jego przytomność w kościele za umyślną chęć spotkania, i wychodząc, podawszy mu na paluszkach święconą wodę, w kruchcie zaraz poczęła z nim rozmowę.

— Widzę żeś pan pobożny — odezwała się — nie uwierzysz jak mnie to cieszy i zardziwia razem, dziś tutaj wszyscy tak dziwnie obojętni, gorzej niż obojętni...

— Przyznam się pani, że i ja bardzom się zdziwił zastawszy ją tutaj — przerwał Ordyński.

Tancerka uśmiechnęła się z wyrazem niedowierzania którego jednak wypowiedzieć nie chciała. Jej się zdawało, że podczaszyc przychodząc dobrze wiedzieć musiał, że ją tam znajdzie.

— Ja — ja jestem *Italiana* — odpowiedziała mu wesoło, topiąc w nim oczy melancholiczne i zalotne — my w naszym pięknym kraju tak śliczne przejrzyste mamy niebo, że przez nie Pana Boga widać...

— Dla czegoż uciekacie z pod tego pięknego nieba?

— Jednych pędzi nędza, drugich ciekawość, dwie biedy kochany panie — naiwnie rzekła tancerka — innych młodość, trzecia bieda także, a niektórych przypadek.

— Któraż z tych bied was tu do nas szczęśliwie zagnała, piękna Frascatello?

— Mnie — odpowiedziała tancerka — pierwsza i najpospolitsza — ubóstwo, dla którego trzeba się było wygnąć z miłego kątku swojego, by ze łzami w oku skakać i śmiać się, walać i błocić, i wziąć za to rzucony jak małepeczce grosik *Carita!*

Nie wiem, udane czy prawdziwe maleńkie łzy błysnęły w modrych jej oczach, gdy to mówiła; westchnęła ciężko, boleśnie.

— Wy nie macie pojęcia co to życie nasze, bez tego nieba, bez tego powietrza, do których jak do mleka matki dziecięce usta, przywykły oczy i piersi nasze. Życie z bolem i tęsknotą w duszy a weselem na czole rozpiętem, pośród ludzi co myślą, że ten który się tak poniżył, zaprzędając uczucie, nic już nie ma czegoby u niego kupić nie można.

— Powiększacie smutek swój tą rozmową Signora Frascatello — przerwał pod czaszyc wiodąc ją dalej ulicą — roztkliwiasz się i rozżalasz...

— Nic to! nie! pozwólcie mi z sobą być trochę szczerą i pożalić się przed wami; czuję, że musicie mieć dobre serce, tak mi przynajmniej mówią oczy wasze, a ja mam zwyczaj wybranym moim mówić co myślę. Resztę dnia już nie wiem czy się szczerze do kogo odezwę, widzieliście mnie w gościnie i gości moich u mnie — taka to życia reszta — o! nie do zazdrości!

— Wśród tylu wielbicieli i hołdów?

— Zartujesz pan — z urazą prawie zawołała Włoszka, co to za hołdy? Kilku starych rozpustników pobrzękujących mi nad uszami głupiem jak oni złotem, kilku młodych, pobrzękujących tak samo odrobiną pożyczanego dowcipu, kilku pobłyskujących pięknymi oczkami, przez które świeci pustka w ich sercu.

— A! jakżeś surowa!

— Nie, nie, tylko sprawiedliwa! Wolałabym ludzi szorstkich, dziwacznych a prawdziwych, to wszystko lalki ręką ludzką wystrugane, w których Bóg duszy nie tchnął, w których nic nie ma Bożego!

— Co w nich męzkiego? — spytała unosząc się tancerka — co szczerzego? — Uczucia komediantów tak jak ja, obyczaje i ruchy wyuczone, każdy ruch naznaczony prawem, nie natchniony uczuciem, to prawo kieruje nimi, ono im panuje, rozkazuje, rządzi, kochają się nawet dla mody i przyzwoitości.

— Dziękuję ci piękna Frascatello, że mnie przynajmniej nie mięszasz do nich — rzekł pod czaszyc zdziwiony całą tą mową.

— Bo sądzę, żeś pan od nich trochę lepszy — rzekła tancerka — ale kto wie co będzie jutro? schwyć cię, uniosą z sobą i życie wyssa jak upiory, będziesz im potem podobnym, urużowanym i chodzącym trupem tylko.

Ordyński tyle życia i prawdy schwytał w tych kilku słowach, tak go one jakoś przesyły do głębi, że nie mógł się rozstać z piękną tancerką; a choć ta piesza z nią wśród białego dnia przechadzka trochę go kompromitowała, szedł dalej nie wiele myśląc, pochwycony jej wdziękiem, ciągniony wymowniejszemi jeszcze od ust oczyma. Ona zdawała się upajać własnymi wyrazy i egzaltować coraz bardziej.

— A! — dodała po chwili, śmiejąc się głośno, ale smutnie — chociaż pan jesteś *incognito*, a ja pieszo, nie może być, żeby kto rannej naszej przechadzki nie dostrzegł... całe miasto wieczorem będzie panu wieszować.

— Chcesz pani bym odszedł? — zapytał żywo pod czaszyc.

— Nie, wcale nie, alboż jednym więcej kochankiem zaszkodzić mi co może? codzień mi kogoś dają! śmieję się — a wiedząc że mi nie wierzą, bym została panią siebie sprzedając skoki swoje, ani myślę o mojej biednej sławie... Chodźmy dalej — dodała — będziesz pan u mnie na śniadaniu.

Niepodobna było odmówić, przeszli tak razem przez najludniejsze ulice, spotykając coraz kogoś ciekawie wychylającego się, by poznać damę z którą szedł pod czaszyc. Włoszka śmiała się szczerze.

— Ale panu — spytała go — nic-że to szkodzić nie będzie? nie masz pan tam już kogo, coby się z nim pokłócił za to, że cię widziano ze mną?

— Ja? nikogo! — z westchnieniem odpowiedział Ordyński.

— Widać żeś pan chyba krótko w Warszawie?

— Od kilku miesięcy.

— A! i dotąd niezajęty! — rozśmiała się Włoszka łamiąc ręce — to prawdziwie osobliwszy wypadek. Jakże to być może, chyba pan nigdzie nie bywasz?

Podczaszyc się uśmiechnął.

— Dziwnie się to wydaje?

— Niepojęcie! Wasze panie wielkiego świata tak są łakome na młodych ludzi! Winuszuję panu tej spartańskiej cnoty, czy tego szczęścia!

W środku Miodowej ulicy idąc, tak powoli rozmawiając, zastanawiając się, ujrzeni karetę jenerała Bauchera, która stała przed szyneczkiem Różanej Magdy, widać już sprawę o jasełka wczorajsze rozpoczynano.

Sam jenerał z kilką osobami jeszcze, rozprawiał żywo o wypadku który go tak gniewał i oburzał, ale ujrzawszy Frascattelę i podczaszycza, wyrzucił ostatek rozkazów naprędce i pospieszył za niemi.

— Dzień dobry wam! a! winszuję! Dalipan, nadspodziewanie, podczaszyc nie traci czasu, już nie wiem zkąd z tą boginią powraca?

Tancerka odwróciła się ze śmiechem.

— Wiesz panie jenerale zkąd? z kościoła!

— A! ba! starego wróbla chcecie wziąć na plewę! Ze świątyni raczej Cyprydy i Amora, którym palić musieliście ofiarę...

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Panie jenerale — rzekł — na honor, że tylko cośmy się spotkali, przypadkiem w kościele.

— Mów sobie zdrów co chcesz, ale filut z waści! — zawołał Baucher — wczoraj w nocyśmy się rozstali poszedłeś niby do domu, dziś rano spotykam!! (pokiwał głową) — na co to darmo bałamucić.

Frascatella śmiała się do rozpuku z tej domyślności starego rozpustnika, który westchnął i Włoszkę ujął pod rękę.

— Dokądże państwo teraz, jeśli wiedzieć wolno?

— Ja, do domu, a ten pan był tak łaskaw, że mnie chciał odprowadzić.

— Siadajcież do mojej karety, pomieścimy się wszyscy, bo po złamaniu wczorajszej, pożyczyłem sobie u Dangla poczwórną tymczasem, póki mojej nie naprawią. Pojadę z wami na śniadańko, jużby też i przekąsić czas, bom się nalatał i nagniewał, co apetytu dodaje.

— Gniew? Jenerale.

— W ogólności wszystko co silnie porusza, gniew, agitacja, zmartwienie, miłość, a nawet sen — ja przynajmniej tego doświadczam. Ale mi nie żal znużenia dzisiejszego, muszę popracować, a po nici dojdę kłębka! Jużem to zlekka odraportował Najj. Panu, byłem u Marszałka, poruszyłem co żyje. Jak to, żeby nikt o tej zgrozie nie wiedział...!! Musimy przecie dojść sprawcy, żeby swą potwarz odszczekał; cała Warszawa dziś o tem mówić będzie; już słyszę nawet latają po rękach te wierszyki, nie wiem zkąd i jak puszczzone, bo ja tego paskudztwa nie pamiętam.

— Ale siadajmy i jedźmy, a jeśli waćpanna nie dasz mi śniadania to mów szczerze, żeby zawodu nie było, pojedziemy pod *Żartoka*.

Włoszka zakłęła się, że nietylko śniadanie ale i ostrygi nawet będą i uprzejmię zaprosiła ich z sobą, siedli więc razem do karety i pojechali do jej mieszkania.

— Ostrygi, moje dziecko, siadając powoli zamruczał jenerał, ostrygi dobra to jest rzecz, ale Frascatello kochana, czy nie będą za drogie na twoją kieszeń, kiedy o mnie mowa? bo masz waćpanna wiedzieć — dodał — że ja się nieukontentuję tuzinem, jem kopami kiedy się do tego wezmę, porachuj się... proszę... chybaś raptem pobogaciła!

Włoszka się uśmiechnęła na te naiwne przestrogi.

— Wiesz co panie jenerale — rzekła — na ten raz dam ci ich ile zechcesz, jeszcze mnie na to wystarczyć powinno, drugi raz już ci ich nie zaofiaruję, bobyś mnie zrujnował.

Jenerał spojrział z podelba na podczaszycza mrugając okiem, uśmiechnął się i szepnął.

— *Honeste! Honeste!* poczyna sobie panienka, w dobrym widzę humorze, że waszności sobie zlowiła.

Jakby te słowa, wymówione umyślnie po polsku, zrozumiała Frascatella, spojrziała na Ordyńskiego smutnie i cicho westchnęła — w tem powóz stanął u bramy jej domu.

XIII

Ku wieczorowi tegoż dnia, gdy podczaszyc rozmyślał jeszcze o pięknej a dziwnej Włoszce, wahając się czy ją miał uznać za szczerze pocziwą, czy tylko wyborną aktorką, w obu razach nie mogąc pojąć wdzięku jaki ją otaczał — wpadł do niego zdyszany pan generał, wołając jeszcze na progu:

— Szczęście żem też pana zastał w domu, a tu król Jegomość chce się z nim widzieć dziś jeszcze, zabieram go zaraz z sobą do zamku.

— Cóż to się stało? jaki powód? zapytał podczaszyc, trochę zdziwiony tym pospiechem.

— Najjaśniejszy pan chce się go lepiej rozpytać o te przekłete jasełka, za któremi marszałkowscy słudzy latają napróżno po całej Warszawie; — jak w wodę wpadły! Rozpowiadałem ja o nich królowi, ale chce widać posłyszeć z ust pańskich jak to się działo, a zatem ubieraj się co najspieszniej podczaszycu i jedziemy. — Wracając z zamku znajdziemy się może gdzieś zabawić. Podskarbi już mi zaczyna trupem pachnąc, a maltański mundur jego o miłą stęchlizną słyhać, obrócimy się gdzie indziej i wieczorek spędzimy mile — spuść się na mnie.

— Tylko się żywo odziewaj, bo Kicki umyślnie z tem przyjeżdżał do mnie żebym cię przyprowadził na zamek i to *eo instante*.

Podczaszycowi choć niemiło było wcale, w pewien sposób instygatorem zostać i wciągnionym być do śledzeń, musiał przecie zastosować się do woli królewskiej i chwyciwszy strój dworski na siebie, włożywszy wstęgę, zawołał o karetę. Nim się jednak przybrał, generał miał czas wypić parę szklanek wina, które nie tracąc czasu podać sobie kazał dla konkokcji po obiedzie, ciężko widać jakoś przechodzącym, gdyż Kicki strawność spokojną w krzesle, przerwał tem poselstwem królewskim.

W chwilę wszystko było gotowo, konie zaprzężone, ruszono do zamku. W bramie krakowskiej skłonił się im darmo Orlandini, siedzący jak zawsze w swoim futerku na krzesle i właśnie zabawiający się przerzucaniem kalendarzyka kieszonkowego, w którym notował *pro memoria* imieniny magnatów, by do nich nie zapomnieć pójść z powinszowaniem i marcepanem. Zawsze bowiem miał zwyczaj, przedni marcepan toruński przynosić solenizantom, a że specjał ten nie był tani, Orlandini w trójnasób brał zań i za swe życzenia.

Koło zamku pełno było jeszcze mimo zbliżającego się wieczora czeladzi mularskiej, ludu, cieślów, robotników; kilku ułanów, kilku kawalerzystów w różnobarwnych mundurach, zwijali się tu i owdzie, karety wjeżdżały i wyjeżdżały z dziedzińców.

Wszedłszy jednak na pokoje, zastali tylko w kątku szambelana Wilczewskiego grającego w szachy z jednym ze służbowych paziów, a w drugiej sali śpiącego wygodnie na kanapie generała Garczyńskiego; — król był w swoich pokojach, ale że podczaszyc przychodził wezwany, dano o tem znać przez szambelana Wojnę, który się znalazł w innym pokoju. — Wojna nie rychło z wyprawy swej powrócił i dał znak generałowi że mogą wniknąć do gabinetu.

Przeszedłszy kilka jeszcze sal i pokoi których prawdziwie królewskie urządzenie podziwiał Ordyński, otwarły się przecie drzwi do wielkiego gabinetu Jego królewskiej Mości, oknami wychodzącego na taras zamkowy. Był to obszerny piękny pokój z kilką szafami bibliotecznymi, ozdobnemi w brązowe rzeźby i zielone firanki. W pośrodku dwa wielkie jednakowe bióra, kilka krzeseł wybitych zielonym aksamitem, kanapka i Wolterowski fotel u okna składały całe umeblowanie. Przed oknem także stał mahoniowy piękny trójnog malarski i stoliczek z całym przyrządem artystycznym, nieco dalej pulpit i pudełko do akwarelli, a na najbliższym biurze, teki, papiery, pędzle, pióra, dyplomata, księgi, rysunki, sztychy, w dość malowniczym rozrzucone były nieładzie. Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów — portret ojca królewskiego, jego matki, księcia Andrzeja, jego żony, księcia Stanisława i kilka pięknych nieznanomych twarzyczek. Pomiedzy niemi uderzały zwłaszcza dziewczynka sparta na krawędzi krzesła, odwrócona ku patrzącym, w pięknym wieśniaczym stroju, i dwie wschodniego typu głowy żydówek Czajki i Elji. Poniżej były pastelle Marteau, wystawujące do półnagie torsy prześlicznych kobiet w różnych postawach, które wymyślone się zdawały, ażeby wydać całą poezję ciała, w najroskoszniejszych

jego zgięciach i najświeższych barwach. Niżej jeszcze rzędem wisiały miniatury Lessuera, po większej części także twarzyczki kobiece uśmiechnione, miluchne, wdzięku pełne.

W jednym kątku widać było niewielki szkic Bacciarellego, tajemniczą jakąś wyobrażający historję Stanisława klęczącego przed zjawiskiem, marą białą, Moiną Poniatowskich, o której głuche krążyło podanie, że członkom rodziny przyszłe ich przepowiadała losy.

Król Jegomość, w bogatym szlafroku, a jak na ówczas zwano *robdeszanie*, z pod którego oszytą korunami koszulę widać było, stał u bióra w pośrodku pokoju, oglądając rysunki które mu podawał mężczyzna po francuzku ubrany, wesołej i ożywionej twarzy, ale niezbyt już młody. Z drugiej strony stołu w dość zaniedbanem ubraniu, z zawiniętymi rękawami, oparł się pierwszy króla malarz i faworyt Marceli Bacciarelli, spoglądając z ukosa to na artystę, to na króla, to na rysunki z trochę szyderską miną. — Stanisław August widać tylko co był porzucił robotę, bo w rękę jeszcze miał pędzel, którego nie złożył i nim na papier wskazywał.

— Mości Norblinie, mówił do stojącego i z uśmiechem coś z teki dobywającego rysownika, ta Zuzanna prześliczna, ale pozwól sobie powiedzieć że rywal Rembranta w sztychu, zbyt znowu w rysunku ciała Rubensa mi czasem przypominasz. — Twoja Zuzanna zbyt może jest pulchna i chyba starców znęcić mogła, nie jest to świeże dziewczę jakiegobym tu sobie życzył...

Bacciarelli rozśmiał się schwytawszy króla na dwuznacności.

— Uwaga Waszej królewskiej Mości jest niezmiernie słuszną, odpowiedział po francuzku Norblin — może być że się omylił, ale w moim wieku już się rysunku nie uczy. Jak mistrz mój Rembrandt ubiegam się zwłaszcza za grą światła i cieni.

— I w tej sam jesteś niezrównanym mistrzem, rzekł Stanisław August, — w tem właśnie spostrzegł jenerała i podczaszyca, którym lekko oddał ukłon skinieniem głowy, ale dalej oglądał rysunki Norblina.

— Trudno bo się od tych arcydzieł oderwać! mówił znowu — to głowa Polaka! Cudzoziemiec schwycił cudnie charakter narodowy, równie jak Bacciarelli i Canaletti — prześlicznie! wyborne! Strój nasz, dawny, choć niewygodny i śmieszny, bo nas od reszty Europy na jakieś tatarskie plemię wystrycha — na obrazie, w sztychu, jak się malowniczo wydaje!

— A! wykrzyknął nagle król biorąc coś z teki — to Orlandini! żywiuteńki! wykapany! a co za charakter! Winszuję ci panie Norblin! Co za talent! Patrz tylko Bacciarelli, jakie dotknięcia!

Gdy Bacciarelli z uśmiechem ale w milczeniu rysunek oglądał, jenerał któremu się nie bardzo chciało czekać, ośmielił się przerwać królowi.

— Wasza królewska Mość rozkazałaś się nam stawić!

— Zaraz panie jenerale, przepraszam cię podczaszycu — chwilę tylko! I szepnął coś Norblinowi na ucho, odsuwając papiery i pokazując mu rysunek jakiś na stole.

Artysta z uszanowaniem ujął ten plód królewskiej ręki, dzieło utworzone w wigilją narad sejmowych a wystawujące — nową liberję dworu, którą król chciał przemienić. Naturalnie, Norblin odchwalić się nie mógł rysunku, kompozycji, doboru barw, cieszył się, radował, oglądał, dziwił, uwielbiał pomysł i wykonanie, Bacciarelli szedł z nim zawody, coraz nowe ukazując piękności w tym rzucie.

Skończyli wreszcie, zgodnie na jeden zdobywszy się koncept, że żaden artysta z powołania nic by piękniejszego nie potrafił wymyślić.

Król wierzył czy nie grubemu kadzidłu, ale je z rozkoszą wciągał w siebie i rozweselony zwinął swój rysunek, żegnając Norblina, przypuszczeniem do pocałowania ręki królewskiej.

— Co się tycze Indygenatu, rzekł do odchodzącego, bądź pan spokojny, wiem, że familja wasza panie de la Gourdain jest istotnie szlachecką, i we Francji używała przywileju tego stanu, a że pragnąłbym tak wielkiego artystę dla kraju naszego zyskać, każe ci wydać dyplom, który musi być potwierdzony bez trudności w sejmie.

Bacciarelli pozostał, ale w głąb' gabinetu się usunął.

Naówczas król trochę zasepiony myślą poważniejszej sprawy i indagacji, którą musiał rozpocząć, zbliżył się powolnie do podczaszyca. Nim jednak usta otworzył, oznajmiono mu architekta Zugh'a, Fontanę, Merliniego, potem nadejście Le Brun'a rzeźbiarza, potem

przyniesiono obraz, który król polecił był kopjować Tokarskiemu, co widocznie więcej daleko króla obchodziło, niż jakieś satyryczne jasełka. Żywo więc przystąpił do przybyłych, z intencją rychłego pozbycia się ich obu.

Podał podczasycowi rękę do ucałowania, uśmiechnął się łaskawiej i zapytał go dość obojętnie:

— Cóżecie to tam wczoraj z jenerałem za osobliwsze mieli widowisko? Prawda to, że w niem nikogo nie oszczędzano?

Ordyński, który wstręt miał do delacji wszelkiej, dość lakonicznie odpowiedział:

— Przypadek chciał Najjsn. Panie, żeśmy trafili na jasełka jakieś z panem jenerałem, z powodu zepsucia się powozu. O ile mi szum, krzyk gawiedzi i nie dość dobra pamięć dozwoliły schwycić to przedstawienie, przypominam sobie, że występowały tam głównie figury biskupów, dygnitarzy, posłów, kilku kobiet...

— Któż z kobiet? spytał ciekawie król, w oczy pilnie patrząc podczasycowi.

— Pani hetmanowa Ogińska, księżna wojewodzicowa Mścińska, księżna jenerałowa Podolska.

— A z familji mojej kto więcej? marszcząc się frasobliwie rzekł Stanisław August.

— Księżę prymas tylko i księżę Stanisław.

— Hm! hm! przerwał król — jak się też WMości zdaje, kto może być autorem tego niecnego paszkwilu?

— Zbyt krótko jestem w Warszawie, zbyt mało ją jeszcze znam, żebym o tem śmiał nawet jakkolwiek sądzić, szybko odpowiedział podcaszyc — a jenerał podchwycił:

— Za to tylko ręczyć mogę, że człek nie z gminu, dowcipny bardzo i w ostre zbrojny słówka, głowa nie lada, wiersz gładki.

— Nie pamiętacież nic? spytał Poniatowski.

— Ja, nic a nic Najjaśn. Panie, pospieszył Ordyński.

— Ja ledwie kawalki, bo to mi się jak groch z kapustą w głowie pomieszalo, dodał Baucher — a wstydzilibym się powtórzyć, takie to wszystko grubjańskie i niepoczciwe.

— Przecież mówiliś mi, że i ty tam byłeś na scenie, musisz pamiętać co o tobie śpiewano? zagadnął król jenerała.

— Skromność mi nie pozwala powtórzyć — trochę żartobliwie skłaniając się... i tłumiac gniew, rzekł stary dworak.

— Nikomu nie powiem, daję ci na to słowo królewskie, zawołał zbliżając się Stanisław August, alem ciekaw maniery poety, może bym go po niej poznał?

Zawahał się trochę jenerał, ale wiedząc że rozśmieszy, a znając że u króla łaskę miał choć chwilową kto go rozmarszczyć potrafił — rzekł po cichu z miną dziwnie skrzywioną:

— Ot tak Najjaśn. Panie, ni mniej ni więcej ucięto mnie w ten sposób:

Prochu nie wachał, kąty wycierał,
Brzuch zawsze pełen a głowa pusta.
Wszystkich dworaków jenerał,
A ulubieniec Augusta.

Król się szczerze rozśmiał, ruszył ramionami i zawołał:

— O! niepoczciwy! niepoczciwy! Ale czyż nic a nic nie pamiętasz jenerale nad tę li jedną zagadkę?

— Klnę się W. K. Mości, że z złości wszystkiego zapomniał — a potem, było tam czego słuchać, jedne lepsze nad drugie, rejestr aptekarski!

Król się zamyślił.

— A nie wiesz, nie ma tam śladu tych gwiazdziarzy?

— Ani słychu Najjaśn. Panie, całe miasto przetrzęsione, jednych w niem jasełek prócz u księży Bernardynów i Kapucynów w korytarzach, nie znaleźć — jak w wodę wpadli. Rzecz widocznie przez klubistów była ułożona, dla podania na pośmiewisko pospólstwa najwierniejszych sług W. K. Mości.

— Mości Ordyński, odwrócił się król, nie wiele ja się widzę od W Pana dowiem, alem też chciał cię prosić, żebyś o tem nie rozpowiadał, ponieważ, jak sądzę, rzecz ubito zaraz z początku, niech ją milczenie i zapomnienie pokryje.

— Darmo bo to już milczeć — odezwał się stary dworak z miną zafrasowaną — buchnęło to słysząc po całym mieście jak z armaty, a wierszyki nawet chodzą już po rękach. Ci co je stworzyli sami roznieśli.

Król się bardzo jakoś zasępił, a że mu jednak mimo frasunku pilno być musiało do Zugh'a, Le Brun'a i Bacciarellego, właśnie w chwili gdy mu oznajmowano kilku panów senatorów, których do innego dnia odesłał, spiesźnie się zwrócił żegnając swych gości, do ulubionego zajęcia.

Gdybyśmy poważnych historyków świadectw nie mieli o tych zajęciach królewskich, co by ledwie zwyciężkiemu Ludwikowi XIV. przystały, a z których tak dziwnie nasz Poniatowski przypomina owego króla René, malującego rękopisma w chwili gdy mu całe zagarniają prowincje, trudnoby uwierzyć, że w pośród ruchu jaki wówczas panował w Warszawie, mógł król myśleć o czym innym jak o nim. Zagrożona Rada nieustająca, projektowane uchwały względem wojska, pogłoski które się już szerzyły o zażądaniu sądu na dawnych winowajców, a zwłaszcza na Ponińskiego co za wszystkich płacił; uparcie i gorąco popierany alians pruski tak dla króla niesmaczny, odebranie mu w ostatku resztek władzy, powinny były skłonić go, jeśli nie do żywego losem kraju zajęcia, to do obstawania za sobą. Tymczasem wobec takich okoliczności, król się bawił jeszcze, nie mając wiary w żadne środki których mógł użyć, idąc na ostatek ku przyszłości, w którą nie ufał, jak się idzie na oślep w ciemnościach, nie wiedząc czy nad przepaść nie wiedzie obrona droga.

Od dnia do dnia, to sztych przysłany przez księdza biskupa Albertrandego, to obraz kupiony gdzieś za granicą przez jakiegoś agenta, to marmur przywieziony z Rzymu, to nowa Bacciarellego robótka, to model rylca Holzhäussera, to jaki plan Zugh'a, to młoda świeża twarzyczka, wynaleziona przez jaką dostarczycielkę wdzięków — bawiły go, zajmowały chwilę, rozrywką mu były i odurzeniem. Na czwartkowych obiadach poił się dowcipem, wierszykami, kadzidłem, w swym gabinecie pędem bawił lub rozmową, szczęśliwy jeśli znudzenie i zużycie dozwoliło mu w tem co dawniej przynosiło przyjemność, znaleźć teraz choć roztargnienie. Częściej coraz widywano go chmurnym, czasem samotnego ze łzą w oku, a któż policzy tajemne westchnienia słabej duszy, co się ani na męztwo ani na królowanie zdobyć nie mogła! Słabość, zużycie, brak wszelkiej wiary, to były cechy jego charakteru, to były grzechy główne, a wychowanie i losy rozwinęły je do prawdziwie królewskich rozmiarów.

Zaledwie wyszli na pokoje, generał z podczaszycem, otoczył ich ciekawy dwór, mając nadzieję coś o krążących już w mieście epigrammatach się dowiedzieć i całą scenę z ust tych co jej świadkami usłyszeć.

Łojko, Wojna, koniuszy Kicki, podkomorzy Brański, Reverdil, Garczyński, Trembecki, Węgierski i Molski, objęli ich kołem, nie dając się wysunąć.

— Jenerale — zawołał Wojna — nie pójdziesz ztąd póki nam nie powiesz jak to było?

— Jenerał nie może być nie czułym na nasze usilne prośby — chytrze z boku dodał z uśmiechem Węgierski — zwłaszcza że nas tu tylko kilkanaście osób i sekret się wydać nie może.

— Piękny mi sekret! — odparł jenerał — kiedy go już przekupki po Warszawie noszą.

— Ale powiedz-że mi waszmość jak to było? — spytał stając wprost Bauchera Trembecki; w jakiej formie? co? jak? Radbym chociaż kilka wierszy posłyszeć, a daję słowo powiem autora.

— O ho! — pokiwał głową Węgierski z uśmiechem swoim szyderskim — alboż to trudno choćby i pański styl i manierę skopiować?

Trembecki nic nie odpowiedział, usta w górę podniósł, nosem pokręcił i czmychnął zażywając tabaki.

— Panie jenerale — dodał podkomorzy Brański — pochorujemy się, widzisz jakieśmy już rozgorączkowani ciekawością. Jeśli ci miłe życie nasze choć cztery wiersze, zlituj się!! prosimy, błagamy. Jak to było?

— Jak to było? — odparł Baucher filuternie — ot zaraz posłyszycie. Jedziemy z panem podczaszycem, którego oto panowie widzą, wieczorkiem, zkąd? czy mam wyznać panie Ordyński? ha! z rekolekcji od Kapucynów, w tem na Miodowej, blisko szyneczku Różanej Magdy, spotykamy tłum niosący przodem gwiazdę — orderu św. Stanisława...

— Jenerale co mówisz? jaką gwiazdę?

— Cóż ja temu winien, że na niej było S. A. R. dalej idą jasełka, śmiechy, tumult, my naturalnie ludzie ciekawi za ciżbą, zwłaszcza, że nam ktoś szepnął iż to nie prosta szopka. Wchodzimy do izby, poczyna się reprezentacja, występuje Herod przebrany za króla Jmci pruskiego, śmierć reprezentująca rewolucją paryżką, djabeł podobniuteńki do Luccheziniego, żyd...

— No ale te figurki i zagadki?

— Jakże? żadnych nie było prócz króla pruskiego i Luccheziniego...

— Ale dygnitarze, posłowie, biskupi, jenerale...

— Nie przypominam sobie nikogo, chybaży żyd reprezentował ich wszystkich! dajcież mi Waszmość pokój! Była szopka, wół i osioł — może osioł!

— Jenerale żartujesz z nas sobie!

— Panie podczaszycu — odezwał się Wojna — do młodszego się zwracając, może ty będziesz na nas łaskawszy, daj nam choćby cztery wiersze żebyśmy o reszcie sądzić mogli.

— Jakto! — odezwał się zamyślając jenerał — czyżby doprawdy ze czterech wierszy poznać można sprawcę *ex ungue leonem*...

— Albo *canem*, podchwycił złośliwie Trembecki, bo to nie leonińska sprawa, ale *canis latrans per plateas*.

Węgierski usta blade zaciął, zzymnął się niewidocznie, ale pokrył gniew śmiechem.

— I pan szambelan potrafiłbyś doprawdy? — spytał jenerał.

— Poznam, daj mi choć cztery wiersze...

Walcząc z sobą widocznie, Baucher się namyślał, ale na nieszczęście pomimo wysiłków nie przychodziły mu na pamięć całkowicie żadne inne, prócz tych, które się jego samego tyczyły; — wahał się więc z ich powtórzeniem. Mógł był opisać najdokładniej wszystkie przeszłoroczne nawet obiady i śniadania zjedzone po domach, ale nie umiał czterech zapamiętać wierszy.

Tymczasem wszyscy stali z zaostrzoną ciekawością, oczekując skutku jego głębokich rozmysłów. Trembecki czekał także, wiedząc że się czegoś doczeka, jakoż jenerał wziął go na bok i w oknie szepnął mu na ucho jak go odmalowano, prosząc o największy sekret.

Rozjaśniło się nieco, zwykle dumne i surowe oblicze śpiewaka, pokiwał głową i odparł cicho jenerałowi zaciekawionemu znajomym wierszykiem:

Byłbym cię nieznał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przybrało...

Stary osłupiał.

— Jakto? — rzekł — on by śmiał? a to by mu kości pogruchotano.

— Jestem swego pewny, ale jakże mu dowiedziesz? Jutro może do Francji uciecze.

— Na co dowody, kiedy mamy pewność, zwycięzko rzekł jenerał, będą kije w robocie.

Wśród tej ciechej rozmowy, Węgierski niby obojętnie uszedł trochę na stronę, ale z oczu ich nie stracił i znać było, że się doskonale domyślał wyroku, jaki nań wydał szambelan kolega.

Te szepty na stronie zaciekawiły przytomnych, lecz się już nic widać nie spodziewali dowiedzieć tutaj, zasłyszawszy od podczaszycy, że król im usta zamknął, powoli więc poczuli się rozchodzić, jenerał także ukośnem rzuciwszy wejrzeniem na Węgierskiego, jakby brał rozmiar pleców jego, wyniósł się z zamku, bardzo coś na wąż motając.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-diabel-tom-ii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Djabeł: powieść z czasów Stanisława Augusta*, tom II, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa: M. Glücksberg, 1873 ([Lwów]: K. Piller).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0424-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).